

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2020/5

magazynhisteria.pl



ASTORETH

CIAŁO

FALA ŚWIADOMOŚCI

GODNY POŻAŁOWANIA

NATRĘCTWO

ŚPIJ SŁODKO, CUKIERECZKU

TAJEMNICZY NIEZNAJOMY

WCIELENIE

WYSZCZERZ

ZAMARZNIĘTE PIEKŁO

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
ASTORETH	Grzegorz Wielgus	5
CIAŁO	Bartłomiej Łysionek	18
FALA ŚWIADOMOŚCI	Adam Loraj	27
GODNY POŻAŁOWANIA	Kamil Rupiński	36
NATRĘCTWO	Jolanta Żuber	51
ŚPIJ SŁODKO, CUKIERECZKU	Sylvia Błach, Honza Vojtisek	60
TAJEMNICZY NIEZNAJOMY	Adrian Iwaniak	67
WCIELENIE	Klaudia Klimko	76
WYSZCZERZ	Michał J. Sobociński	88
ZAMARZNIĘTE PIEKŁO	Mateusz Dębski	103

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka : Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Kaja Jaroszewska, Joanna Korytko, Szymon Majcherowicz,

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami wrześniowa Histeria, czyli 40. wydanie naszego magazynu. W środku znajduje się aż dziesięć opowiadań grozy. Cieszy nas to niezmiernie, gdyż dawno nie opublikowaliśmy tylu tekstów.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad listopadowym numerem.



B. Jaworski i M. Zawadzki

ZBIÓR NAJLEPSZYCH
HISTERYCZNYCH OPOWIA DAŃ



SKLEP. OKOLICA STRACHU. PL



rys. Izabela Wojciechowska

ASTORETH

Grzegorz Wielgus

Afryka, rok 1942

Wstęga drogi przecinała rozpalony bezmiar pustyni. Trudno było zrozumieć, dlaczego ktokolwiek miałby walczyć o te jałowe pustkowia, a jednak w rowach piętrzyły się nadęte od gazów ciała w spłowiałych mundurach, ponad którymi przetaczały się oblepione piaskiem sypcharki, oddając zabitym ostatnią posługę. Wraki rozbitych czołgów i samochodów pancernych stały rozrzucone na pustynnej równi, otoczone kręgami poczerńiałego od ognia piasku. Na pancierzach stali żołnierze, hakami wyciągający z wnętrza wypalonych kadłubów zwęglone zwłoki czołgistów.

Sierżant Stirling szarpnął kierownicą i ominął lej po bombie, z którego sterczały przednia koła i maska ciężarowego bedforda.

– Uważaj, jak jedziesz – rzucił siedzący obok mężczyzna z dystynkcjami pułkownika na świeżo wypranym mundurze. – Chcesz mnie zabić?

Stirling nie pamiętał jego imienia. Oficer przybył z ostatnimi uzupełnieniami i nie miał zielonego pojęcia o tym, jak wygląda wojna. To jednak nie przeszkadzało mu wykrzykiwać bezsensownych rozkazów swoim nosowym głosem od chwili, gdy tylko objął dowodzenie nad jednostką Stirlinga. Od pułkownika czuć było arystokratyczną butą na dobrą miłę, a jego skóry, w przeciwieństwie do pustynnych weteranów, nie zdążyło jeszcze spalić afrykańskie słońce. Na dodatek był Anglikiem, co dla Szkota było bodaj najtrudniejsze do zniesienia.

Sierżant nie odpowiedział. W tumanach pyłu kluczył pomiędzy wrakami i porzuconym na drodze sprzętem, pozostawionym w czasie jednego z kolejnych odwrotów poprzez pustynne pustkowia. Stirling już do reszty stracił rachubę, kto w tej chwili nacierał, a kto umykał z podkulonym ogonem.

Na początku makaroniarze dostali baty, potem my, później Szwaby... teraz znowu nasza kolej, ech, kto by tam na to zwracał uwagę, pomyślał sierżant i mocniej zacisnął dłoń na kierownicy.

– Widzicie to miejsce, sierżancie? – Pułkownik podsunął mapnik przed jego twarz. – To stara włoska willa, zbudowana na szczycie oazy. To będzie świetne miejsce na moją kwaterę. Proszę mnie tam zawieźć.

– Tak jest, sir.

– Nie da się jechać tak, żeby było mniej tego przekłętego pyłu? – parsknął oficer.

– Sir, to jest pustynia – odparł Stirling obojętnie, poprawiając nasuniętą na twarz chustę.

– Wiem, co to jest, sierżancie, i nie o to pytałem – odburknął pułkownik, ocierając chusteczką spocone czoło. – Proszę jechać wolniej.

Stirling westchnął, po czym wykonał polecenie, choć zdawał sobie sprawę, iż walki z wszechobecnym pyłem nie dało się wygrać. Równie rozsądne byłoby stawianie murów naprzeciwko hamsinowi. Do piasku, upału oraz panującej wkoło beznadziei trzeba było przywyknąć.

– Czego tak wyglądacie? – rzucił oficer, gdy Stirling po raz kolejny uniósł głowę.

– Luftwaffe – odpowiedział sierżant, sunąc wzrokiem po błękitnie nieba.

– Nedorzecznosc. Królewskie Siły Powietrzne zapewnią nam osłonę, zostałem o tym osobiście zapewniony przez samego wicemarszałka Coninghama.

Stirling wzruszył ramionami, mruknął coś pod chustą i dalej wypatrywał niemieckich samolotów, pełen ufności w wicemarszałka Coninghama, pułkownika oraz brytyjskich lotników, których wojna porzuciła gdzieś na rozpalonych niebiosach ponad pustynią.

Zielona wyspa oazy była na pustyni niesamowitym widokiem, podobnie jak nienaruszony przez ostrzał budynek o białych ścianach, otoczony zadbanym murkiem. Ponad dachem willi wyrastały parasole palmowych liści, kusząc perspektywą krótkiej drzemki w chłodnym cieniu.

– Nada się – orzekł pułkownik tonem człowieka, który z gospodarską troską spogląda na swoje obejście. – Dlaczego nie podjedziemy pod samą bramę, sierżancie?

Sierżant posłał mu wściekle spojrzenie, po czym wyskoczył z auta.

– Miny – odrzekł, nim wyciągnął zza siedzenia karabin i odwinął pas materiału, który osłaniał zamek broni.

– Nie widzę żadnych min.

– O to właśnie chodzi. Żeby ich nie było widać.

Sierżant ruszył ostrożnie w stronę willi, przyglądając się uważnie poboczom oraz rozjeżdżonym koleinom. Klęknął przy bramie posiadłości. Odgarnął dłonią w rękawicy garść poruszonej niedawno ziemi, odsłaniając pomalowany piaskową farbą metalowy dysk ze sterzącym na bok uchwytem. Pokręcił głową, po czym odłożył hełm na bok.

– Talerz. Przeciwpancerna – powiedział do siebie. Sięgnął po bagnet zza pasa i wbił ostrze tuż obok miny.

– Czyli nieszkodliwa dla zwykłego samochodu, tak? – zapytał oficer cokolwiek nerwowym głosem.

Stirling westchnął. Żałował, że nie znalazł jakiejś wymówki, aby puścić pułkownika przodem w samochodzie. Nie byłby to pierwszy oficer, który na jego oczach wyleciał w powietrze. Szansa jednak przepadła bezpowrotnie. Saper nader ostrożnie odsłonił dłońmi krawędzie miny i wsunął ręce pod ładunek. Na jego usta wpłynął grymas z trudem mogący uchodzić za uśmiech.

– Jest i bliźniaczka, połączona z siostrzyczką dodatkowym zapalnikiem. Gdyby ktoś spróbował podnieść wierzchnią minę, mielibyśmy tutaj uroczy krater. – Sierżant otarł pot z czoła. – Oczywiście. Ta na dole śpi zapalnikiem w dół, na kamieniach, żeby zmniejszyć nacisk potrzebny do detonacji. A gdyby i to zawiodło, mamy jeszcze to, siostrę numer trzy.

Stirling wyciągnął z kieszeni kawałek drutu i wsunął go w zapalnik znacznie mniejszej miny, kształtem przypominającą ciemną puszkę po kawie, z której sterczała metaliczna tulejka.

– Skacząca Betty. Zwykle te cacka wyskakują z ziemi i wybuchają na wysokości krocza, ale ktoś ją zakopał jako dodatkowy zapalnik. Samochód wjeżdża przez bramę, mina przeciwpiechotna detonuje tandem przeciwpancernych talerzy i... – Saper strzelił znacząco palcami.

– Skąd ten szkop wiedział, gdzie zostawić coś takiego?

– Wiedział, że willa zainteresuje oficera. – Stirling wyciągnął skaczącą minę z piachu, po czym schował do kieszeni spodni.

– Sierzancie, czy ta mina jest bezpieczna?

– Wystarczy włożyć cokolwiek w miejsce zawleczonej. – Sierżant wyciągnął z chlebaka solidny skórzany pas.

– Ach, tak, tak – przyznał oficer. – Długo to jeszcze zajmie? Uroczy ten wykład, ale to słońce straszliwie pali.

Saper pokręcił tylko głową w niedowierzaniu. Ściągnął obydwie miny przeciwpancerne pasem, wydobył je z zagłębienia i położył delikatnie przy bramie willi.

– Są uzbrojone, ale nie wybuchną, chyba że ktoś zacznie po nich skakać albo je rozepnie – powiedział, otrzepując rękawice z pyłu. – W środku będzie ich więcej, gwarantuję.

Stirling się nie mylił, choć musiał przyznać w duchu, iż z miejsca polubił niemieckiego sapera i to o wiele bardziej od pompatycznego pułkownika, który chodził jego śladem, opowiadając o ratanowych meblach, które każe sprowadzić z Aleksandrii specjalnym transportem.

W umyśle sierżanta niemiecki saper było profesjonalistą i naprawdę równym gościem. Darował sobie wszystkie amatorskie sztuczki, jak ładunek wybuchowy w spłuczce, tylko z miejsca przeszedł do sedna sprawy. Mina przeciwpiechotna z zapalnikiem w kurku wanny była godnym podziwu cackiem, podobnie jak ładunek w wydrążonej tralce balustrady balkonu. Wystarczyło, aby pułkownik nabrał ochoty na podziwianie zachodu słońca ze szklaneczką whisky w ręce i przesunął dłonią po barierce, z której sterczały ledwie zauważalne druciki zapalnika. Jednakże to obraz był przebłyskiem geniuszu.

Zwykły żołnierz nie zwróciłby uwagi na tani, bezwartościowy landszaft zdobiący salon willi, a tym bardziej nie pofatygowałby się, aby poprawić krzywo wiszącą ramę. To było coś, co mógł zrobić tylko dystyngowany gentleman, nawykły do nienagannyh manier

oraz popołudniowej herbaty podawanej przez ordynansa. Za obrazem, w zagipsowanej wnęce, leżało dość materiałów wybuchowych, aby wysadzić w powietrze całe skrzydło posiadłości.

Stirling oczywiście zdawał sobie sprawę, że Niemiec próbuje go zabić, ale to samo mógł powiedzieć o każdym ze swoich oficerów. Różnica polegała na tym, że brytyjskiemu dowództwu ta sztuka mogła się udać znacznie szybciej niż wrogiemu saperowi.

Kończył właśnie segregować wydobyte ze ściany zapalniki, gdy z zewnątrz doszedł go piskliwy głos pułkownika.

– Sierzancie, proszę na zewnątrz!

– Po cholere tak się staram? – mruknął ze złością, zanim ruszył do wyjścia. – Ten obraz powinienem zostawić w spokoju.

Gdy saper dotarł na tyły willi, dostrzegł Anglika stojącego na szczycie kamienistego pagórka.

– Zniszczone czołgi – oznajmił oficer, wskazując mapnikiem na kilka stojących opodal willi wraków. – Należy je sprawdzić w poszukiwaniu dokumentów – orzekł takim tonem, jakby zaraz miał wywalczyć Krzyż Wiktorii. – Naprzód, sierzancie.

Stirling przez moment zastanawiał się, co by się stało, gdyby skierował karabin w twarz pułkownika i nacisnął spust. Dumał, czy zarozumiały Anglik poleciałby na plecy, czy też uderzenie kuli zakręciłoby nim w tanecznym piruecie.

Nigdy się nie dowiemy, stwierdził w myślach sierżant, po czym bez wielkiego zapędu ruszył przodem, w kierunku znieruchomiałych maszyn. Z dwóch crusaderów zostały tylko sterty poskręcanych przez eksplozje blach oraz uczeplone podwozia koła, po których Stirling rozpoznał brytyjskie czołgi.

– Trafienie w skład amunicji – mruknął do siebie, przestępując ponad bezkształtnym kawałem spalonego mięsa, z którego sterczały połamane żebra. – Przynajmniej nie cierpieli. W przeciwieństwie do tamtych skurczybyków.

Sierżant szedł obok łąchy ciemnego piasku, która powstała, gdy uszkodzony czołg zaczął broczyć paliwem i kilka chwil później stanął w ogniu. Silniki benzynowe zwykle płonęły intensywnie, krótko, ale diesle potrafiły gorzeć całymi godzinami, rozświetlając pustynne noce niczym upiorne pochodnie. Czarna ścieżka prowadziła do pierwszego z włoskich czołgów M13. Pojazd nie wyglądał, jakby został trafiony z działa, ale raczej zmiażdżony przez jakąś potworną siłę. Z uchylonego włazu na burcie czołgu, niczym pajęcze odnóża, wystawały zwęglone palce.

– Otwórzcie to.

Stirling skrzywił się na dźwięk tych słów.

– Nie ma tam czego oglądać, panie pułkowniku.

– To rozkaz.

Zawiasy skrzypnęły cicho, gdy saper otworzył właz lufą karabinu. Snop światła wpadł do ciasnego wnętrza czołgu i wydobył z mroku upiorny kształt. Włoscy carristi byli zwykle niskiego wzrostu, aby zmieścić się we wnętrzach swych maszyn. Skurczeni od ognia, ze skorupami hełmów na czaszkach, przypominali powykęcane w agonii dzieci, które spłonęły żywcem we wnętrzu stalowej bestii. Wypalone oczodoły spoglądały na Stirlinga. Błagały go, aby sierżant zamknął już wieko stalowego grobowca i pozostawił umarłych w spokoju.

– Martwi i dobrze. Jeszcze ich pogonimy stąd do Trypolis – oznajmił oficer z wyższością cechującą ludzi, którzy wojnę znali tylko z opowieści swoich ojców. Ludzie tacy jak oni nie dowodzili z pierwszej linii, tylko przesuwali po mapie znacznikami dywizji, z wielką lubością posyłając do boju Australijczyków, Hindusów, Gurkhów oraz innych żołnierzy ze wszystkich zakątków Brytyjskiego Imperium.

Pułkownik zatrasnął właz czołgu, miażdżąc palce spalonego carristi.

– Macie rację, sierżancie, nic tu do oglądania. – Palec Anglika wskazał na masywną, kanciastą sylwetkę niemieckiego pancerza. – Ten wygląda na nietknięty.

W istocie czołg sprawiał wrażenie porzuconego. Na pancerzu widać było kilka śladów po rykoszetach, ale gąsienice nie były zerwane, a maszyny nie otaczała plama rozlanego paliwa, oleju oraz innych, życiodajnych dla czołgu płynów. Stirling przewiesił karabin przez ramię, wyciągnął z kabury rewolwer, otworzył bęben i dmuchnął kilka razy na spłonki pocisków. Gdyby stanął oko w oko z wrogiem, nie chciał usłyszeć zamiast wystrzału suchego kliknięcia.

Ostrożnie obszedł czołg, stale trzymając wzrok na lufie karabinu maszynowego wystającej z przedniej płyty pancerza.

– Żadnych numerów i oznaczeń. Tylko napis, Astoreth, pewnie nazwa własna. – Stirling przypadł na kolana, omiatając rewolwerem przestrzeń pod czołgiem. – Włazy ewakuacyjne zamknięte. Dziwne.

Na boku czołgu wisiał rząd czarnych tabliczek.

– Dziwne – powtórzył, niestety na tyle głośno, aby jego głos dotarł do uszu pułkownika, który stał w stosownej odległości od pancerza, gotów w każdej chwili skryć się za jednym z wraków.

– Coś nie tak, sierżancie?

– Te tabliczki, sir – odpowiedział sierżant, czując na plecach niemiły dreszcz. – Szkopy umieszczają na nich imiona oraz datę śmierci zabitych członków załogi. Tutaj zamiast dat są jakieś cyfry, może numery identyfikacyjne?

– I co z tego?

– Niemcy wynieśli się stąd trzy dni temu, sir.

– Zgadza się.

Stirling postukał rewolwerem o pancierz czołgu.

– Nie dość, że ten gruchot to jeżdżący grobowiec, to ostatnia tabliczka jest pusta. Jakby oczekiwali czyjejs śmierci.

– Interesujące – odpowiedział oficer głosem, który mówił coś zupełnie innego. – Ale bardziej obchodzi mnie to, czy dowódca ma przy sobie mapnik albo jakieś dokumenty. Proszę to sprawdzić.

Z przekleństwem na ustach Stirling wskoczył na grzbiet panzera i zamarł na moment, z jedną ręką na uchwycie włazu. Wziął głęboki wdech, po czym szarpnął mocno. Kłapa otworzyła się i opadła z metalicznym szczękiem na bok. Sierżant zmrużył oczy, próbując dostrzec cokolwiek wewnątrz czołgu. Gdyby nie obecność pułkownika, dla pewności wrzuciłby do wnętrza granat albo wykopaną sprzed bramy minę, mało przejmując się losem dokumentów, które mogły znajdować się w czołgu.

– I co? – odezwał się piskliwy głos oficera. – Co tam jest?

– Nie widzę śladów załogi. Wszystko jest pokryte jakimś pyłem. – Sierżant wsunął rękę do wnętrza i przesunął rękawicą po zamku działa. – Popiół.

– Tylko popiół? – zdziwił się pułkownik, podchodząc bliżej. – To na co czekacie, sierżancie? Do środka!

Pełen najgorszych przeczuć Stirling wsunął się nogami naprzód w ciemność.

Wnętrze było ciasne i duszne, przepelnione słodkim, trudnym do określenia zapachem. Wzniesiony popiół zawirował w powietrzu, gdy saper opadł na dno przedziału bojowego. Sięgnął dłonią na bok, przesunął palcami po rzędach armatnich pocisków. Serce tłukło się w jego piersi, krew szumiała w uszach, gdy po omacku przecisnął się pomiędzy metalowymi wnętrzościami czołgu i sięgnął ku stanowisku radiooperatora. Spodziewał się znaleźć tam zgarbione plecy zabitego czołgisty, lecz napotkał tylko pustkę. Dla pewności sięgnął pod metalowe siedzisko, sprawdzając, czy na podłodze nie leżała porzucona książka kodowa lub spis wykorzystywanych przez Niemców częstotliwości.

– Czysto – wychrypiął z ulgą, gdy tylko skończył przeszukiwać wąski przedział kierowcy.

Kilka chwil później Stirling wydostał się z powrotem na powierzchnię. Usiadł na nagrzanym słońcem wieży i natychmiast zaniósł się kaszlem.

– Coś do zameldowania, żołnierzu?

– Nie. Wnętrze jest... puste, sir – wykrztusił. – Załoga musiała zabrać... wszystkie papiery. Zostawili nawet załadowane... karabiny, ale... zabrali wszystko inne.

– Szkoda. – Pułkownik wzruszył ramionami. – Ale czołg jest w dobrym stanie, a to gratka dla królewskiego wywiadu. Dobrze, że go znalazłem. Sierzancie, mam dla was nowe rozkazy. Zostaniecie tutaj przez noc. Szkopy mogą próbować zholować to cacko do siebie.

– Mam tutaj zostać, sir? – Sierżant uniósł brwi w niedowierzaniu. – Sam?

– Ja muszę pojechać do sztabu i zorganizować transport mebli oraz wyposażenia dla mojej nowej kwatery. Jutro sprowadzę ekipę holowniczą – wyjaśnił pułkownik takim tonem, jakby tłumaczył dziecku coś najprostszego pod słońcem. – Ach i przyślę tu kogoś. Wedle możliwości oczywiście. Żołnierze frontowi Jego Królewskiej Mości mają ważniejsze obowiązki niż dozоровanie opuszczonego czołgu.

Wozenie mebli najwyraźniej ma wyższy priorytet, pomyślał Stirling, ale tylko ugryzł się w język. Już dawno się nauczył, że mniej kłótni z przełożonymi oznacza, iż jego życie stawało się nie tyle łatwiejsze, ile prostsze. Mógł albo wykonywać bezmyślne rozkazy, albo spróbować dezercji, lecz na uciekinierów czekały już owiane złą sławą Koszary Mustafy Paszy, gdzie osadzonych traktowano jak zwierzęta.

Kilka minut później po pułkowniku został tylko pióropusz pyłu, wyrzucony w powietrze przez koła terenowego samochodu. Warkot silnika zgasł w oddali, ustępując miejsca niepokojącej, bezkresnej ciszy sięgającej po horyzont.

– Zostaliśmy tylko my, skarbie.

Stirling poklepał panzera po lufie i zajął się otwieraniem wszystkich włazów, wpuszczając do zapyłonego wnętrza nieco światła. Klaustrofobiczne trzewia czołgu wcale nie zachęcały do spędzenia w nich choćby chwili, jednak noce na pustyni były wyjątkowo zimne, a sierżant nie miał zamiaru sprowadzić na siebie uwagi rozpalonym na otwartej przestrzeni ogniem. Gdy przychodziło do ostrzału, było mu obojętne, czyje pociski spadną mu na głowę. Brytyjskie odłamki potrafiły zabić nie gorzej od niemieckich.

– Rozejrzyjmy się. – Sierżant zeskoczył z pancerza.

Gdyby nie świeże ślady gąsienic, można by ulec złudzeniu, iż panzer tkwił tutaj przynajmniej od kilku tygodni. W popiele brakował innych śladów niż te, które pozostawił sierżant, co było równie wielką zagadką jak zalegający wewnątrz pył. Na pustyni było niewiele drewna, a rolę paliwa w prowizorycznych piecykach spełniała zwykle ropa lub nasączony

benzyną piasek. Tajemniczości dodawał panujący w czołgu zapach. Nie była to woń benzyny, oleju oraz metalu, która zwykle towarzyszyła ciężkiemu sprzętowi.

Nie mogąc znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi, sierżant zaczął oglądać zdobiące maszynę tabliczki.

– Jasny gwint. Nie dziwię się, że zdecydowali się ciebie porzucić, skarbie, samobieżne z ciebie nieszczęście. Masz na sumieniu więcej mężczyzn niż wszystkie dziewczyny w Kairze – stwierdził, kręcąc głową. – Jak one są przymocowane? Nitów nie ma, śrub też nie... – Przez moment sierżant zastanawiał się, czy bagnetem nie podważyć jednej z plakietek, jednakże coś mówiło mu, że nie byłby to dobry pomysł. – Po jakiemu to jest pisane? Da się rozpoznać tylko datę. Szwaby straszliwie bazgrzą. Widać piszą tak szpetnie, jak mówią.

Stirling wspiął się z powrotem na wieżę czołgu i zaczął przyglądać się wrakom pozostałych maszyn.

– Wszyscy Włosi zostali trafieni w tył – mruknął. – To dziwne, bo nasze crusadery pruły do nich od czoła, a wkoło brakuje śladów innych czołgów. Zaskoczyły makaroniarzy, wyjeżdżając zza willi. Walka była krótka, tylko kto ją skończył? Wygląda na to, że ten panzer, ale to by oznaczało, że Szkopy najpierw rozstrzelali crusadery, a potem zaczęli taranować Włochów. – Saper wydobyl z wieży jedną z wystrzelonych łusek i zaczął obracać ją w dłoniach. – Znowu te cudaczne symbole. Gwiazda wpisana w okrąg. Komu się chce takie rzeczy skrobać?

Wkrótce dzień dobiegł końca. Cienie wydłużyły się, sięgając daleko w piaski pustyni. Niebo pociemniało, przeszło z błękitu w granat, a pustkowia zalało czerwone światło, które rychło ustąpiło miejsca trupiej poświacie stojącego w pełni księżyca. Wkoło panowała cisza, lecz nie był to przyjemny, beztroski spokój, ale pełne groźby milczenie.

Stirling siedział na wieży panzera. Otulony kocem, leniwie grzebał widelcem w puszcze z peklowaną wołowiną. Od zmierzchu towarzyszyło mu niemiłe uczucie, jakby ktoś go obserwował, a im dłużej sierżant wypatrywał ruchu wokół czołgu, tym głębiej strach zatapiał szpony w jego sercu. Wyobrażenia podsuwała mu obrazy potwornych istot żyjących w tym zapomnianym przez Boga miejscu. W kąci oka zaczęły poruszać się stwory ukryte dotąd przed światłem. Koszmary zamieszkujące piaszczyste morza, których nie zbadał żaden podróżnik. Poczwały równie stare co porzucone w piasku ruiny fenickich miast. Wobec nich nawet siła ognia czołgu zdawała się śmiesznie słaba, bo przecież żaden pocisk nie jest

w stanie rozerwać na strzępy przerażenia, które od zarania dziejów spoczywało na dnie ludzkiego serca.

Do uszu sierżanta dobiegł metaliczny chrobot dochodzący od strony włoskich czołgów. Coś drapało pazurami o pancerze wypalonych maszyn.

– Metal stygnie po całym dniu na słońcu – powiedział do siebie Stirling, choć jednocześnie przyciągnął do siebie rewolwer.

Kilka chwil później piasek zachrzęścił w rytm cichych kroków. Sierżant obrócił się, uniósł broń i odciągnął kurek. Tym razem całkiem wyraźnie dostrzegł ciemny, pełznący nisko przy ziemi kształt, który natychmiast zniknął za sylwetką włoskiego czołgu.

– Dosyć tego. – Stirling postawił puszkę obok wjazdu. Włączył latarkę, po czym ruszył poprzez ciemne pobojewisko z rewolwerem w dłoni. Szedł ostrożnie, z każdym krokiem czując, jak odwaga w jego sercu topnieje. Z bezlitosną wyrazistością zdawał sobie sprawę, iż ruszał naprzeciwko tego, co czaiło się w ciemnościach, uzbrojony w sześć pocisków oraz bagnet za pasem. Mimo tego maszerował dalej, zagryzając wargę niemalże do krwi.

Żółte światło latarki padło na osmolony błotnik włoskiego M13, przesunęło się po obróconej wieży i opuszczonej lufie armaty. Boczny właz czołgu był otwarty na oścież. Ciało zwęglonego carristi leżało na piasku z wyciągniętą naprzód ręką.

– Co do cholery...

Sierżant poczuł nagłą suchość w ustach, gdy usłyszał dochodzący z wnętrza czołgu odgłos miażdżonych kości przerywany gardłowym, maniackim wręcz chichotem. Wyłączył latarkę. Przeszedł ostrożnie ponad zwłokami i wymierzył lufę w czarny otwór. Trzask łamanych szczątków nagle ucichł. Coś skrzyżowało wzrok z saperem. Z czeluści maszyny wyskoczył masywny kształt o dwóch jarzących się niebezpiecznie ślepiach. Stirling upadł na plecy, zaciskając palec na spuście. Na ułamek sekundy noc przecięła jasna błyskawica. Ogromna bestia wylądowała zręcznie na piasku, zanosła się drwiącym śmiechem, po czym umknęła w objęcia nocy.

– Kurewska hiena! – krzyknął ze złością sierżant. – Ja pierdołę!

Saper dźwignął się na równe nogi i oparł się plecami o wrak czołgu. Otarł lodowaty pot spływający mu po twarzy.

– Ja pierdołę – powtórzył, włączając na powrót latarkę. Wzrok mężczyzny padł na leżące obok wraku zwłoki. – Chodź, chłopie. Nie powinienes tak leżeć, jeszcze się przeziębisz – mruknął łagodnie.

Stirling ostrożnie uniósł ciało włoskiego czołgisty, umieścił je na powrót w brzuchu wypalonego czołgu i zaklinował boczny właz kawałkiem oderwanego resora, aby

padlinożercy nie mogli dostać się do wnętrza. Był w połowie drogi do panzera, gdy ponad pustynią rozległ się narastający szybko warkot silników.

– Źle, źle, źle.

Sierżant dopadł biegiem czołgu, zrzucił puszkę z wołowiną na ziemię, chwycił za koc i wsunął się do wieży. Wychylony z włazu obserwował, jak przez grzbiet wydmy przetoczyła się ciemna sylwetka. Wąski snop światła prześlizgnął się po stoku diuny i pomknął w kierunku willi. Powietrze wypełnił charakterystyczny terkot włoskich motocykli.

– Jasna cholera.

Stirling zeskoczył na dno przedziału bojowego i zaczął przeciskać się naprzód, chcąc zaryglować otwarte dotąd włazy. Ledwie skończył, usłyszał łomot butów na pancerzu czołgu. Rzucił się do tyłu. Zawadził dłonią o krawędź siedzenia kierowcy i wypuścił latarkę. Zaklął, ale nie próbował po nią sięgnąć, tylko wycofał się tyłem do wnętrza wieży.

Uniósł rewolwer i wycelował w mrok ponad głową.

Metal zazgrzytał cicho. W ciemności pojawił się jaśniejszy krąg, otaczając niczym aureola zarys ludzkiej głowy. Ogień wylotowy oświetlił pokryte symbolami wnętrze wieży, zdumioną twarz włoskiego żołnierza oraz kogucie pióra wiszące przy jego hełmie. Kula trafiła bersaliera między oczy. Mężczyzna z wyciem rzucił się do tyłu i runął na piasek.

– Puttana! È dentro! – wrzasnął ktoś po włosku. – Lancia una granata!

Stirling skoczył do góry, próbując sięgnąć uchwytu klapy. Uderzył głową o zamek działa, rozcinając głowę, ale nie zwrócił uwagi na płynącą po twarzy krew. Złapał za uchwyt w ostatniej chwili, zanim bersalier zdążył otworzyć właz i wrzucić do środka granat.

– Porta il lanciammine! Brucia questo stronzo!

Właz znieruchomiał. Rygiel samoistnie wskoczył na swoje miejsce.

– Spalą mnie, żywcem mnie spalą. – Sierżant poczuł w nozdrzach zapach dymu, który sączył się z lufy rewolweru. – Ostatnia kula dla mnie.

Stirling mimo woli wtulił głowę między ramiona, gdy o pancerz czołgu uderzyły serie z ciężkich karabinów maszynowych. Moment później panzer zadrżał, trafiony pociskiem z działka.

– Jasna cholera. – Ogłuszony hałasem Stirling rozejrzał się po wnętrzu czołgu tak, jakby dopiero teraz zrozumiał, gdzie się znajduje. – Żywcem mnie nie weźmiecie.

Podciągnął się na krzeselko celowniczego i po omacku zaczął szukać pokręteł obrotu wieży.

Czołg przebiegł dreszcz. Przenikliwy dźwięk ożywającego silnika przypominał długi wdech zakończony miarowym hukiem czegoś, co tkwiło w trzewiach czołgu. To nie był mechaniczny łoskot dwunastu cylindrów, ale bicie serca.

– Jasna cholera! – krzyknął Stirling, zbyt przerażony, aby zwrócić na to uwagę. – Zwarcie! Elektryka musiała nawalić, dlatego go porzucili. Jeżeli działa silnik to znaczy, że...

Nagle poczuł na ramionach dotyk. Ciepło spłynęło niżej, objęło jego dłonie i pokierowało nimi. Ponad uchem odezwał się cichy, kobiecy głos. Wypowiedział jedno słowo w obcym sierżantowi języku, ale on wykonał posłusznie rozkaz. Wiedział, co ma zrobić.

Przyłożył twarz do wyściełanego skórą celownika. Przez moment widział tylko ciemne zarysy wraków oraz oświetlone księżycem szczyty wydm, ale coś przesłoniło celownik na ułamek chwili. Gdy powieka się podniosła, nocne ciemności zniknęły.

Głos wypowiedział kolejny rozkaz.

Stirling nacisnął butem na pedał spustowy. Osadzony w jarzmie karabin maszynowy ożył, plunął smugą ognia. Pociski prześlizgnęły się po pierwszym z bersalierów, niemalże odrywając głowę od ciała. Obsługa ciężkiego karabinu maszynowego spadła z paki trójkołowego motocykla, rozerwana na strzępy fosforowanymi smugami. Motor zniknął w kuli ognia, gdy eksplodowało wyciekające z baku paliwo. Wieża obracała się dalej, omiatając nieruchome wraki włoskich czołgów, ścinając z nóg kolejnych bersalierów. Niektórzy próbowali uciekać, kryć się w ciemnościach. Na próżno.

W płonącej źrenicy celownika znalazł się kanciasty kształt samochodu pancernego. Stirling zacisnął zęby, gdy na czołg spadł deszcz pocisków z włoskiego z działka. Chciał zamknąć oczy, odsunąć się od celownika i odruchowo ukryć się przed ogniem, ale nie potrafił. Usłyszał odgłos ryglowanego działka.

Później padła komenda. Pojedyncze, pełnej mściwej satysfakcji słowo.

Kciuk sierżanta instynktownie nacisnął spust, umieszczony na mechanizmie obrotu wieży. Grzmot wystrzału uniósł zalegający we wnętrzu popiół, który natychmiast roziskrzył się niczym płomienisty deszcz. Jasna błyskawica rozerwała samochód pancerny na kawałki. Wieża wystrzeliła w górę, po czym opadła obok wywróconej na bok maszyny.

Ze szczękiem gąsienic Astoreth wyruszyła na łowy. Doścignęła cofającą się tyłem ciężarówkę, która stanęła gwałtownie, gdy jej koła uwięzły w piasku. Żołnierze zeskakiwali z samochodu, kilku zaczęło go pchać, inni rozpaczliwie ciskali granatami na oślep. Większość uciekała w stronę wydm. Astoreth z łatwością zmiażdżyła ciężarówkę, wgniotła jej cielsko głęboko w piach, grzebiąc kierowcę w stalowym grobowcu.

Noc przecięła struga płynnego ognia wyrzucona z niskiej tankietki ciągnącej za sobą przyczepkę z łatwopalną cieczą. Płomienie spowiły na moment sylwetkę Astoreth, lecz ona niewiele sobie robiła z rozpalonego ludzką ręką ognia, nie mógł jej skrzywdzić. Obróciła głowę i na jej skinienie tankietka wyleciała w powietrze, rozerwana na pół siłą eksplozji. Moment później pochłonęło ją szalejące inferno.

Astoreth krążyła pośród ciemności, zdumiona bezczelnością ludzi, którzy panoszyli się po jej domenie. Wiele wody musiało upłynąć w rzekach od czasu, gdy po raz ostatni wędrowała po Ta-Mehew oraz Libu, śmiertelnicy bowiem stali się nader butni. Ujarzmili wszystkie żywioły z pomocą metalowych maszyn i oddali się pod władzę zazdrosnych bóstw o dziwacznych imionach. Niemcy, Francja, Włochy, Japonia, Rosja oraz Brytania nieustannie żądały ofiar, milionów ofiar i aby je uzyskać, te krwiożercze idole wywoływały jedną świętą wojnę za drugą, w tym dwie światowe. W istocie, od czasu gdy Astoreth wkroczyła do Tyru, wiele uległo zmianie, lecz ona nie zamierzała rezygnować z raz podjętej misji. Jej nowe ciało było sprawne, bez trudu rozszarpywało na strzępy wszystkich przeciwników, lecz bogobójczyni potrzebowała na szlaku towarzysza, kogoś, kto pomoże jej zrozumieć ten obcy świat i dokończyć zaczęta przed wiekami podróż.

Stirling stał oparty w otwartym włazie czołgu, z którego unosił się pachnący kadzidłem dym. Wiedział już, kim była Astoreth. Z początku trudno było mu uwierzyć w to, co mówił kobiecy głos. Próbował nawet wydostać się z czołgu, ale gdy Astoreth otworzyła wreszcie włazy i pozwoliła mu zadecydować, sierżant nie odważył się zeskoczyć z jej pancerza na piasek pustyni. Mógł odejść, pozostać żołnierzem, zdać raport z nocnej potyczki. Być może jego odwaga zostałaby dostrzeżona przez jednego z anonimowych oficerów, którzy z piórem w ręku decydowali o nagrodach za przelaną krew, jednak Stirling nie zamierzał dłużej walczyć na pustyni dla cudzej chwały. Wyrzył swoje imię na pustej tabliczce, tkwiącej w pancernym boku Astoreth.

Z zamyślenia mężczyznę wyrwał odległy warkot silników. Uniósł lornetkę do oczu i uśmiechnął się pod nasuniętą na twarz chustą. Pułkownik powrócił do willi na czele wyładowanego meblami konwoju.



CIAŁO

Bartłomiej Łysionek

Nie stało się jeszcze nic od niemalże dwóch dni. Trzy dni temu przyjechała Kasia, przywożąc ze sobą pełny bagaż swojego przerośniętego optymizmu, który wlewał się w toksyczny sposób do mojej czaszki, topiąc pewność siebie i wypalając powoli dziury w moim i tak już od dawna martwym sercu. Odkąd tutaj jest, poruszam się po własnym domu jak cień. Obijam się o kolejne ściany, kursuję tam i z powrotem po schodach, licząc cierpliwie stawiane kroki. Często przesiaduję na strychu, przeglądając gromadzony przez całe moje dotychczasowe życie księgozbiór, który samodzielnie poukładałem według roku zakupu poszczególnych pozycji. To ułożenie pokazuje rozwój, pokazuje kolejne etapy życia, które przeciekało mi przez palce, które doprowadziło do tego momentu.

Dzisiejsza wędrowka była nieco inna niż dotychczas. Po przejściu kolejnych pokoi,

mijając kuchnię i salon, zacząłem wdrapywać się po schodach, znów sumiennie je licząc. 32. Nie wiem, czy dziury w mózgu się rozszerzają, czy to pleśń oplatająca stopniowo kolejne organy, czy może klasyczna paranoja podpowiadała mi, że jeszcze wczoraj schodów było 33.

Wiem, że potrzeba mi spokoju w tym domu przesiąkniętym niecierpliwością, w którym ściany ociekają kortyzolem i płynnym, skoncentrowanym lękiem. W roku 2005 rozpocząłem przygodę z literaturą iberoamerykańską zagłębiając się w kolejne warstwy opisów społecznego upokorzenia, które tryskało z czytanych przeze mnie stron. Nawet teraz, kiedy na nie patrzę, ogarnia mnie poczucie niesprawiedliwości i obojętnego smutku.

Ze stosu książek z rocznika 2005 przenieśliem wzrok na wewnętrzny, szeroki parapet jedyne okna spróchniałego, drewnianego strychu. Pierwsze promienie słoneczne oświetlały relikty dawnych lat, drażniąc ledwo co przebudzone oczy. Tego elementu przestrzeni jednak nie rozpoznawałem i coraz bardziej zacząłem się zastanawiać, jak głęboko zanurzyłem się we własnym szaleństwie.

Z zamyślenia wyrwał mnie poranny podmuch pozytywnych wibracji, zatęchła woń sukcesu i pseudosamorealizacji, tak skoncentrowana, że przyprawiała o mdłości. Liczyłem, ile razy schody prowadzące na strych zaskrzypią. 29... 30... 31...

– Jakbym cię nie wyrwała codziennie z tego negatywnego letargu, to byś pewnie już do tej pory umarł.

Nawet nie spodziewałem się tego, że zauważy zmiany otoczenia od momentu wejścia na strych. Kasia codziennie marginalizuje dochodzące z zewnątrz bodźce, nie pozostawiając sobie najmniejszego pola do interpretacji niezależnych od niej zjawisk. Żywy, przemieszczający się z po świecie z podniesioną głową mokry sen każdego młodego, samozwańczego psychologa po certyfikacie z neocoachingu, studiującego zawzięcie dawno już wytarte ze znaczenia frazesy motywacyjne. Wolno poruszająca się cząstka antydepresji.

– To ty go tutaj przyniosłaś? – spytałem, nie odrywając wzroku od parapetu.

– Kurwa! – krzyknęła, wyrывая się na chwilę ze swoich porannych introspekcji. – To są zwłoki?! Czemu miałabym je tutaj przynosić?!

– Nie wiem. Ja ich tu nie przytargałem.

Pusty dotychczas parapet zajęty był teraz przez jeszcze gorejące zwłoki wypełniające strych coraz to większą pustką egzystencjalną. Nieokreślone, nienazwane, z twarzą jakby znajomą, ale tak bardzo nierozpoznawalną, intrygujące i odrażające. Zwłoki.

– Tak dobrze, że tutaj przyjechałam! Ten dom zamienia się w ruinę, a ty razem z nim! Tutaj wszystko gnije!

– Coś mam z tym zrobić?

– Może zacznij, kurwa, żyć!

Wiedziałem, że ten chwilowy atak gniewu to tylko przypadkowa manifestacja nagromadzonej i dawno już wypartej agresji, która akurat w tym momencie skierowana była we mnie. Nawet nie miałem jej tego za złe. Tak po prostu przelewają się emocje, na tyle naturalnie, na ile ją było stać.

– I pozbądź się tego ciała! – rzuciła, schodząc po schodach. – Ja pierdołę!

29... 30... Może przeskoczyła jeden albo dwa schodki, żeby nie marnować swojego cennego czasu, który mogłaby wykorzystać o wiele bardziej produktywnie? Nie myślę, żeby proces gnilny fundamentów tego domu przenosił się do jej serca, choć przyznaję, że tak mi się na początku wydawało. Stałem więc tak w bezruchu, tępo wpatrując się w nowe, martwe towarzystwo. Coś mnie kusiło, żeby nieśmiało zacząć podchodzić bliżej, czułem pod palcami dotyk ledwo ciepłej skóry, czułem każdą niedoskonałość, która czyniła Ciało doskonałym. Przez umysł przebijały się kolejne myśli, uruchamiając niepewnie nowe sekwencje neuronowe. Może to przez patologicznie rozwiniętą teorię umysłu te nowe sekwencje wygaszały we mnie odczucia prawdziwego życia. Mimo szczerej odrazy do przesadnych introspekcji Kasi sam zacząłem pogrążyć się w wirze empatyzacji z Ciałem, coraz bardziej zapadając się między szczelinami mózgu, odcinając czysto fizyczne, zewnętrzne doznania. Czułem te ostatnie wypijane kieliszki wódki przepalające gardło i pozbawiające oddechu. Czułem te ostatnie myśli, których nigdy nie pomyślałem, pochowane gdzieś z tyłu głowy, ciężące mi na duszy i przyprawiające raz po raz o napady paniki. Nie zdobyłem się na odwagę żeby podejść do Ciała. Stałem tylko, dalej wpatrzony, przeczesując gęste włosy, zastanawiając się, co poszło nie tak? Czemu stoję tutaj pośrodku tej kaplicy wiecznego rozkładu, osuwając się mozolnie na podłogę, zapadając się w jej spróchniałe deski.

– Chciałam ci ugotować coś bardziej pożywne, ale twoja lodówka jest chyba bardziej pusta od twojej głowy – powiedziała radośnie, rzucając mi talerz jajecznicy między wyciągnięte dłonie.

– Myślę, że mógłbyś wyjść na prostą, gdybyś pomyślał o zmianie diety na wegańską. Nawet nie wiesz, ile się napłakałam, rozbijając te owoce barbarzyńskiej korpokracji. Mogłam ją przesolić swoimi łzami!

– Jak myślisz, skąd to się tu wzięło? – Wpatrywałem się w wymieszane jajka z odrobiną cebuli, którą Kasia albo musiała sama posadzić w dniu swojego przyjazdu

i codziennie namawiać ją do szybszego wzrostu, albo... nie znam tak dobrze swojego domu.

– Co wzięło?

– No kurwa, to Ciało.

Spojrzała się na mnie najcieplejszym spojrzeniem, na jaki mogła się w tym momencie zdobyć. Powoli usiadła na krześle obok mnie i położyła dłonie na mojej prawej dłoni. Gdyby nie to, że grzyby w moim organizmie już jakiś czas temu odcięły połączenia nerwowe obu dłoni, mógłbym nawet poczuć to ciepło całkowitej akceptacji, które tak usilnie próbowała mi przekazać. Wlepiła swój wzrok mocno i agresywnie prosto w moje puste oczy, jakby w nich czegoś poszukiwała. To zmarnowany czas. Robię to samo co rano, kiedy spoglądam w lustro, i nic w nich nie znajduję.

– Myślę, że musisz pozwolić sobie na odrobinę życia – zaczęła łagodnie, głosem unoszącym się po całej kuchni jak delikatna mgiełka pierwszych dni wiosennej atmosfery. – Tak bardzo chciałabym, żebyś potrafił zostawić to wszystko za sobą. Nie mogę ci pomóc, dopóki ty sam nie będziesz gotowy na pomoc samemu sobie. Myślisz, że ja tego nie widzę, ale ja zauważam wszystko. Widzę, jak snujesz się po domu bez celu i bez chęci do jakiegokolwiek produktywnej refleksji. Naprawdę bardzo chcę, żebyś ze mną porozmawiał, żebyś już zrzucił to z siebie. Czemu to sobie robisz?

Tej nocy bezsenność napierała na mnie bardziej niż zwykle. Nawet udało mi się polubić tę pustkę myśli. Jedyny problem takiego stanu rzeczy to czasem powolnie wpadające, intruzywne myśli, których odczuwanie jest tak mocno zintensyfikowane, że przepala dawno nieużywane synapsy, jeszcze bardziej mnie zabijając. Usłyszałem pukanie rozchodzące się po korytarzu głuchym echem. Zastanawiam się, gdzie rozchodzą się fale dźwiękowe? Czy ściany domu je odbijają, czy to ściany mojej czaszki? Wstałem ociężale, idąc za dźwiękami rozbudzającymi dawno już zapomnianą nadzieję. Sunąc przed siebie, stawiając ciężkie, wyczerpujące kroki, widziałem, jak koniec korytarza coraz bardziej się oddala i wpada w głębszy mrok. Spodziewałem się hucznie rozczarowującego finału tej wędrówki, który zawracał mnie z powrotem do łóżka. Siłą rozpędu jednak dotarłem do drzwi wejściowych, otwierając je na oścież i przekraczając niepewnie ich próg. Deski zaskrzypiały mi pod stopami. Byłem na strychu, po raz kolejny wlepiając wzrok w spowite księżycową mgłą Ciało leżące spokojnie na parapecie. Już dawno pętles czasoprzestrzenne nie zaciskały się tak drastycznie na mojej szyi. Długie godziny medytacji w celu odzyskania kontroli nad

otaczającą rzeczywistością okazały się czasem straconym, który teraz mści się na mnie i zmusza do kontemplacji krytycznie turpistycznego poczucia humoru. Nie miałem już nawet siły z tym walczyć. Oparłem się plecami o ścianę i osunąłem na podłogę. Ciało milcząco rozpraszało mój wzrok, wchodząc do mózgu i odcinając wcześniej przepalone synapsy, budując nowe rusztowania, na których stawiało swój obraz martwego spokoju. Formowały się przede mną plemienne tańce cieni zbliżające się w moją stronę, otulając lodowatą aurą, która wydawała się być nawet zimniejsza od mojej zeszywniałej skóry. Pierwszy silniejszy rozbłysk aktywności pod czaszką tak zaskoczył moje na wpół uśpione ciało, że straciłem przytomność.

Chociaż moja półświadomość była już całkiem pełna, miałem ogromne trudności z otwarciem oczu, których powieki zrastały się coraz bardziej z dnia na dzień. To kolejny poranek, który witał mnie krwawą wizją lub nawet, bardziej mesjańsko, krwawymi łzami ściekającymi po policzkach. Przez bordową mgiełkę widziałem rozkładające się Ciało, czekające cierpliwie te pół przespanej przeze mnie nocy. I czekałem, bo tylko czekanie mi pozostało. Zaczynały dochodzić do mnie stłumione dźwięki skrzypienia kolejnych schodków. 28... 29...

– Halo?! Halo! Schowałeś się tutaj przede mną?! – Kasia pewnym krokiem przekraczała progi strychu ze wzrokiem skierowanym na Ciało. – Jesteś tutaj?! – Zatrzymała się i odwróciła w moją stronę, zniżając wzrok w kierunku podłogi. – Jezus Maria! Czy ty się w tych zwłokach zakochałeś?! Pozbądź się ich natychmiast, przecież tak się nie da żyć!

Ślepo wpatrywałem się w przestrzeń przede mną, widząc Ciało jako jedyny element otoczenia na czarnym, przytłaczającym tle. Wymienialiśmy tak jeszcze puste spojrzenia przy akompaniamencie porannej tyrady Kasi, której wściekłość osiągała dzisiaj poziom krytyczny. Z letargu wyrwał mnie jej mocny uścisk na moim ramieniu.

– Czy ty mnie w ogóle słyszysz?! Tak się nie da żyć!

– To wypierdalaj – rzuciłem przed siebie. Ośłupiała zdezorientowana, wytrzeszczając oczy w moją stronę i otwierając przy tym szeroko usta.

– S... Słucham?

– Powiedziałem, żebyś wypierdalała z mojego domu.

Zwolniła uścisk i stanęła na baczność, próbując wydobyć z siebie jakieś słowo. Dużo ją to kosztowało, raz za razem łąpała powietrze ustami, składając kolejne sylaby i kolejne

myśli, utylizując po drodze wszystkie, które mogłyby zburzyć jej obraz idealnej obywatelki globalnej wioski dwudziestego pierwszego wieku.

– Po prostu... Po prostu udam, że tego nie słyszałam – zaczęła spokojnie. – Masz natychmiast zejść do kuchni. Zrobiłam wczoraj zakupy, żebyś miał dzisiaj jakieś bardziej pożywne śniadanie. Nie będę czekała cały dzień. – Odwróciła się bezgłośnie i wyszła. 26... 27... 28...

Chciałem się przez chwilę zastanowić, czemu ją tak potraktowałem. Naprawdę dokładałem wszelkich starań, żeby choć na chwilę odkamienić serce, rozkruszyć zwapnione tętnice i rozruszać jakiś sensowny proces myślowy, ale nie mogłem. Nawet *przepraszam* brzmiało w mojej głowie jakoś wysoce nienaturalnie, jak kolejne puste słowo rzucone w przestrzeń. Samo *wypierdalaj*, które rzuciłem w jej stronę na strychu, także było pozbawione znaczenia. Semantyka tego domu mogła już jakiś czas temu legnąć w gruzach, rozbudzając się tylko w rzadko pojawiających się chwilach omamów objawiających się wibracjami w okolicach ud. I tak samo jak się pojawiały, tak szybko znikwały, kiedy rozświetlałem ekran telefonu, nie znajdując na nim żadnego ominiętego połączenia czy nieodczytanej wiadomości.

– Przepraszam cię, Kasiu. Nie powinienem był tak do ciebie mówić.

– Nawet już nie pamiętam, co mówiłeś. – Dalej starała się być miła i nawet nie wyglądała jakby, ją to męczyło. – A tak serio... To... Mam wrażenie, że to może jakaś twoja faza takiej bezsensownej agresji czy coś. Wiem, że przecież nie jesteś na mnie zły. Przyjechałam tutaj, żeby ci pomóc i zostanę, dopóki nie uznam, że pomogłam. Taka już niewdzięczna rola przyjaciół.

– Co mam zrobić z tym Ciałem? – Patrzyłem, jak stygnący kawałek tofu i sałatka warzywna coraz bardziej zniechęcają mnie do jedzenia czegokolwiek.

– Boże... Czy ty jesteś po prostu fizjologicznie niezdolny do powiedzenia słowa dziękuję? Czasem naprawdę zaczynam się modlić o jakąkolwiek wdzięczność z twojej strony, ale nie! – Uniosła ręce nad głowę i wzięła głęboki oddech. – Ja jestem zen. Jestem tym, do czego ty musisz dążyć, kochany. Owszem... Boli mnie trochę samotność tego domu. Miałam nadzieję, że dzisiaj postanowisz może zasnąć w moim pokoju? Przynajmniej będę miała cię na oku, żebyś nie wymykał się po nocach na strych.

– Nie wiem... To chyba by było wysoce nieodpowiednie...

– Co nieodpowiednie?! Nie żartuj! Po tylu latach wątpię, żebyś mogła cię czymś zaskoczyć, tak samo jak ty mnie nie możesz zaskoczyć. Poza tym po tych paru latach siłowni moje ciało wybitnie wygląda w koszulce nocnej, możesz to potraktować jako zachętę. Nawet mogę się odrobinę dla ciebie zawstydzić!

Czułem, że muszę wyjść. Płuca już nie wytrzymały stęchlizny i ciągłego przyjmowania postępującego rozkładu. Stałem przed drzwiami wejściowymi, licząc kolejne ciężkie oddechy. Nawet nie wiedziałem, czy tęsknię za szumem drzew i powiewami skażonego powietrza, które i tak wydawało się czystsze od atmosfery tego domu. Próbowałem skumulować wszystkie dostępne mi motywacje do działania razem z myślami o tym, że tak samo jutro, jak i pojutrze ten świat dalej będzie żył, że zagłada nie przyjdzie tak prędko i w końcu trzeba będzie się zmierzyć z rzeczywistością, która ukrywa się przede mną na zewnątrz. Szarpnąłem klamkę. Raz i drugi. Drzwi trwały nieustępliwie, wypuszczając salwy głuchego śmiechu zatapiające mnie coraz mocniej w głąb siebie. Trzeci i czwarty, i piąty. Prędzej moje serce przestanie wydawać ledwo słyszalne szmery, niż one się poruszą. Szósty i siódmy. Tak dziwnie... jakbym poczuł nagłe skoki ciśnienia, których nie mogłem zaobserwować u siebie od dawna. Czy fakt zamknięcia stał się niespodziewanie tak przerażający, czy to trzymana frustracja zaczyna wypływać? Siódmy i ósmy...

– Myślałam nawet o tym, żeby z tej okazji, że się zdecydowałeś na wspólne nocowanie, spać nago, ale to może zachowam na jutro. Nie ma co się tak ze wszystkim odkrywać! Dobranoc!

Hałaśliwa w swoim wydźwięku cisza nocy odbijała się głośnie echem od martwych ścian i z wielkim impetem uderzała o moje drżące ciało, nabijając mi coraz to rozleglejsze siniaki. To w tej martwej ciszy odnajdywałem swoje towarzystwo. Tylko ona dawała mi ten patologiczny spokój owity w jaskrawy całun lęku, który traktowałem już jako zdrowy i naturalny. To właśnie lęk sprawiał, że pozostałe mi resztki życia stawały się w jakikolwiek sposób emocjonalne i warte poświęcenia im uwagi. Poza nim napływające od czasu do czasu afekty nie miały żadnego znaczenia, wygrywały smętne melodie, pobudzając do drgań kolejne kości, łamiąc mnie w pół i przyprawiając o nieme zawroty głowy. Może Kasia miała rację, że tak się nie da żyć. Tylko kiedy tak naprawdę żyłem? Czy pamiętałem jeszcze, co znaczy dla mnie życie, a tym bardziej życie w pełni? Życie jakościowe? Obudowywałem

sobie głowę kolejnymi segmentami pustosłowia, które tylko zaśmiecały mi robocze pokłady pamięci i spowalniały dochodzące do mnie sygnały. To przez nie nie mogłem dokopać się do wspomnień, które mogły już dawno wygasnąć. Bałem się, że za niedługo utracę także znaczenie lęku i to przerażenie rozgrzewało zastygłe mięśnie, minimalnie podwyższając temperaturę ciała. I przez to rozchodzące się ciepło docierała do mnie nikła fala zrozumienia rozchodząca się po sypialni. Odwróciłem się na drugi bok, żeby jeszcze przed snem spojrzeć na spokojnie śpiącą Kasię. Zobaczyłem tylko Ciało synchronizujące swoje puste spojrzenie wychodzące z martwych źrenic z moim już wygasającym spojrzeniem. Chciałem wyciągnąć do niego rękę, ale paraliżowało mnie przerażenie. Walczyłem z nim, jak mogłem, starałem się spinać stopniowo kolejne mięśnie, próbując zedrzeć ciągle rozrastającą się pleśń z nerwów. Kiedy zaczął drżeć mi palec prawej dłoni, mózg znowu rozbłysnął niczym w napadzie padaczkowym i pozbawił mnie resztek świadomości.

– Kurwa! Kurwa, kurwa, kurwa! Co to jest, do cholery?!

Nie mogłem otworzyć oczu. Widocznie powieki zrosły się już na dobre, pozbawiając mnie tej wątpliwej przyjemności oglądania kolejnego wybuchu Kasi. Jej krzyk roznosił się po całym domu, rozbudzając duchy dawno martwych marzeń zamurowanych w tych pustych ścianach.

– Czy ty myślisz, że to jest, kurwa, śmieszne?! Boże święty... Tak się nie da żyć! Muszę się stąd wynieść! Jesteś nienormalny! Zdechniesz nienormalny i samotny!

Nawet nie mogłem się podnieść. Dochodziły do mnie odgłosy szamotaniny z kolejnymi zakładanymi ubraniami, potem z opornie zamykającą się torbą. Teatralnie ciężkie, gniewne kroki przenoszące się przez długi korytarz i agresywne, głośnie trzaśnięcie drzwi wejściowych. Potem martwa cisza. Naturalnie martwa cisza unosząca się wokół mnie, otulająca i szepcząca, że wszystko będzie tak, jak być powinno. Wszystko będzie tak, jak być powinno. Czulem, jak powoli puszcza zeszywnienie mięśni i z powrotem mogę wykonywać ociężałe, bezsensowne ruchy. Z trudem podniosłem się z łóżka, choć ćmiący ból głowy ciągnął z powrotem na poduszkę. Próbowałem wymacać drogę do drzwi sypialni, potykając się o własne nogi, czując, jak los gra ze mną w swoje psychopatyczne gry nieustających tortur. Nie było jej. Dźwięki kroków stawianych przeze mnie po korytarzu rozchodziły się po domu, nie napotykając żadnych żywych elementów, które mogłyby je zaabsorbować i zinterpretować na jedną z wielu możliwych emocjonalnych reakcji. Mieszkałem tu od wielu lat, znałem ten

dom na pamięć, tylko czy pamięć jest jeszcze sprawna? Ciemność przed oczami nie różniła się niczym od codziennego widoku, którego doświadczałem, wstając każdego dnia rano. Sen przestał różnić się od jawy. Czułem, że jestem już gotowy, ale gotowość bywa bardzo płynna. Doszedłem do spróchniałych schodów, chwytając się poręczy. Czułem pod palcami resztki pozdzieranej farby, wspomnienia lepszych czasów, które nie istnieją jak cała pozostała przeszłość i przyszłość razem wzięte. Każdy kolejny schodek ciążył na umyśle i tylko napędzał ból głowy, wpuszczając do uszu fałszujące dźwięki molowej sonaty. 25... 26... 27...

Wszedłem na strych. Przy utraconej wizji mogłem sobie jedynie wyobrazić porozrzucane na całej jego powierzchni stare rzeczy, od których było uczucie nieopisywalnego chaosu. Pośród ciemności udało mi się dostrzec jedynie Ciało, dalej trwające w bezruchu, czekające na mnie na parapecie z lodowatym spokojem. Z coraz większym oporem zmierzałem w jego stronę z wyciągniętą przed siebie dłonią, która mrowiła do takiego stopnia, że czułem, jakby miała za chwilę oderwać się od reszty ciała. Czułem, jak każdy kolejny krok powoduje częściowy rozpad, że moje życie dematerializuje się do pojedynczych procesów na poziomie atomowym. 25... 26... 27... Moja dłoń zatrzymała się centymetry od martwej, lodowatej masy, bezpłciowej i bezemocjonalnej. Centymetry, które bolały bardziej niż suma wszystkich ciosów psychicznych, które zabliźniały się latami. Pośród ciemności tylko Ciało mogę dostrzec wyraźnie, zawieszony w idealnej pustce, tak idealnej jak nic rzeczywistego.

– Przyszedłem do ciebie.



FALA ŚWIADOMOŚCI

Adam Loraj

Wiesz, w umieraniu najstraszniejsze wydaje mi się to,
że człowiek jest zdany tylko na siebie.

Vladimir Nabokov, *Lolita*

1.

Prawdziwy początek mojego życia to tak naprawdę koniec tego poprzedniego. Ułudnego, niezwykle kruchego ze względu na zamknięcie w ciele mogącym zostać zniszczonym przez byle wypadek lub strawioną chorobą. Życia trawionego rodzącym się

przez to wszystko strachem przed niepojętym zjawiskiem dotykającego każdego człowieka. Przed śmiercią. Obecnie powinienem raczej powiedzieć, że prawie każdego, bo mnie udało się wydostać z tego błędnego koła. Osiągnąłem to, o czym marzyli faraonowie, królowie, myśliciele. Sprawilem, że kłamliwa wieczność, podawana dotychczas przez religie, stała się prawdą. Ktoś mógłby mnie zapytać, czy było warto? Czy nie żałuję dokonanego poświęcenia, by tylko uwolnić się, oswobodzić z ciasnego uścisku śmierci?

Nie. Zrobiłbym to raz jeszcze, gdybym tylko mógł.

Od dziecka przerażała mnie perspektywa, że kiedy przyjdzie mój czas, umrę i nic nie pozostanie po Arturze Feliksie Neckim. Może moje dzieci będą mnie czasem wspominać, a potem wnuki, aż wreszcie w pamięci kolejnych potomków zatrze się moje imię. Stanę się anonimową osobą na zdjęciach lub całkowicie zaniknę. Najczęściej takowe myśli nachodziły mnie tuż przed zaśnięciem; rodziły paraliżujący strach i ataki zimnego potu. Ledwo byłem w stanie zaczerpnąć tchu. Czułem, jakby ktoś naciskał na moją klatkę piersiową. Myślałem o śmierci, o świecie bez mnie. Strach rozrastał się, pęczniał mi w głowie, aż wreszcie nie wytrzymałem i w reakcji obronnej traściłem przytomność. Zасыpiając, zapadałem w ciemność nieświadomości.

Pierwszy raz ze śmiercią miałem do czynienia w wieku sześciu lat, kiedy zmarł mój pies. Był on już stary i pewnego ranka zwyczajnie nie zwał się ze swojego leża. Jego włochate, czarne cielsko zalegało bez ruchu. Nie reagował na wszelkie moje komendy. Na początku matka próbowała zająć mnie czymś innym. Poleciała pójść do pokoju, bym spakował się do szkoły, lecz ja byłem już przygotowany. Doszło do kłótni, która zakończyła się niespodziewanie zadany przez mnie pytaniem:

– Czy Bury umarł?

Matka patrzyła się wtedy na mnie przez chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zaprzeczyć, tłumacząc stan psa zmęczeniem lub inną dolegliwością i dopiero później martwić się, jak wyjaśnić jego zniknięcie, czy też potwierdzić, wprost pozbawiając dziecięcego mnie wszelkiej nadziei? Patrzyłem na nią, a ona na mnie. Ciągająca się między nami cisza była niezwykle wymowna. Skinąłem wtedy, a przez moje ciało przeszedł dreszcz przerażenia. Starając się to ukryć, zacisnąłem pięści i szybko zebrałem się do szkoły, nie zerkając na leżące cielsko psa. Nagle wszelka miłość, jaką do niego czułem, stała się niewygodna, dręcząca i bolesna. Mój dziecięcy umysł podpowiadał, że nie można kochać istot martwych. Przez całą drogę do szkoły płakałem, walcząc z kłębiącymi się we mnie uczuciami. Wreszcie, kiedy budynek zamajaczył mi przed oczyma, zaczerpnąłem głęboki oddech i uspokoiłem się, całkowicie wyzbywając wszelkich emocji.

Zaledwie rok później śmierć dotknęła kolejnego członka mojej rodziny. Bawiłem się na tarasie, układając z klocków Lego zamek i ustawiając po przeciwnej stronie wrogą armię składającą się z tuzina kościotrupów i czarnego smoka. Właśnie miałem rozpocząć największą bitwę, jaką widział świat, kiedy dołączył do mnie ojciec. Ukląkł obok, położył mi dłoń na ramieniu, powstrzymując od dalszej zabawy. Spojrzałem na niego pełen pretensji. Moje oczy utkwiły w jego; szklących się, zaczerwienionych. Płakał bezgłośnie. Chociaż byłem wtedy tylko dzieckiem, widziałem, jak ogromne pokłady smutku i żalu skrywają się w postaci tego postawnego, lekko otyłego mężczyzny.

– Babcie zmarła – powiedział. Szybko, ledwo zrozumiałe. Zapewne bał się, że załamie mu się głos. Skinąłem, wiedząc już, co to oznacza. Przytuliłem się do ojca, muszającego pogodzić się ze stratą własnej matki. Wtedy też zacząłem bać się śmierci z innego powodu. Przez kolejne dwa miesiące ojciec, z dotychczas pełnego energii i radosnego człowieka, stał się swoistym upiorem trwającym na pograniczu światów. Snuł się pełen cierpienia. Mało jadł i mówił. Nawet później, kiedy zaczynało mu się polepszać, patrząc głęboko w jego oczy, widziałem smugę tęsknoty. Mój strach rozszerzył się. Od tamtego dnia zrozumiałem, że kiedy odejdę, ucierpią również moi bliscy. Rodzina, przyjaciele.

Mógłbym przytaczać kolejne wydarzenia, które potęgowały we mnie strach, ale po pierwsze nie widzę w tym sensu, a po drugie wielu rzeczy ze swojej przeszłości już nie pamiętam. Wszystko to miało miejsce już zbyt dawno temu i dotyczyło mnie-pełnego, kiedy obecnie czuję, jak moje jestestwo rozdziela się na coraz więcej jednostek, jak mknę i trwam w zakamarkach nieistniejącego świata. Z ogromną trudnością wydobyłem z zakamarków mojej pamięci te dwie historie, chociaż pierwsza z nich wryła się we wszystkich mnie niczym piętno.

Co? Zastanawiasz się, dlaczego o tym wszystkim mówię? Nie wiem. Po tylu latach wreszcie spotkałem kogoś, kto mnie rozumie. Kogoś, kto myśli jak ja i potrafi się ze mną porozumieć. A wspomnienia dawnych czasów wydaje mi się najlepszym tematem do rozmowy. Bo o czym innym mógłbym prawić? Ale spokojnie! Jeszcze tylko chwila i przejdę do najistotniejszego momentu w moim życiu. Tak, spokojnie. Później dam Ci opowiedzieć o sobie, chociaż dobrze znam tę historię. Zresztą jak Ty moją. Ale teraz proszę, daj mi skończyć. To dla mnie ważne. Powrócić do dni, w których byłem zupełnie kimś innym.

Strach przed śmiercią stanowił o kierunku mojego życia. W wieku nastoletnim, po przeczytaniu licznych dziewiętnastowiecznych powieści fantastycznych, w których pisano o alchemikach poszukujących panaceum, zdecydowałem się pójść ścieżką nauki. Sięgając po kolejne publikacje, tym razem naukowe, szybko wyrobiłem w sobie przekonanie, że żadna z już dobrze rozwiniętych i przebadanych dziedzin nie uraczy mnie rozwiązaniem, lekarstwem na śmierć. Medycyna zdawała się mi zbyt zachowawcza, walczyła z chorobami, wydłużała życie i kłamała, mówiąc o możliwości osiągnięcia dzięki niej nieśmiertelności. Ułuda, napędzająca dziesiątki poznanych przeze mnie lekarzy i naukowców, mi nie wystarczała. Stanowiła mrzonkę podobną do tych, którą rozpowiadały religie. Zwróciłem się więc w stronę biocybernetyki, stając się jej pionierem. W przeciągu dziesięciu lat osiągnąłem więcej niż wszyscy przede mną.

Połączenie biologii i cybernetyki zdawało mi się jedyną możliwością pokonania śmierci. Moim celem stało się osiągnięcie tego, o czym pisało wielu pisarzy science-fiction. Zrozumiałem, że aby znaleźć się poza błędnym kołem życia, muszę poradzić sobie z ograniczającym ludzi ciałem. To ono ciągnęło nas ku końcowi. Marszczyło się, chudło, garbiło i wreszcie rozkładało. Więziło naszą świadomość w ciasnych granicach mózgu.

W wieku trzydziestu dziewięciu lat zacząłem pracować dla WHO, dzięki czemu dysponowałem najnowocześniejszym laboratorium, w którym pracowały osoby przeze mnie wybrane. Dysponowałem prawie nieograniczonymi zasobami pieniężnymi. Przynajmniej tak mi się wydawało...

Pamiętam, że miało to miejsce w maju. W czasie ciągnących się od marca upałów. Siedziałem we własnym gabinecie, czytając raporty sporządzone przez mojego asystenta Ma... Mar... Mate... Marcina. Tak, Marcina. W lekturze przeszkodziła mi kobieta, wysłana przez Komitet Wykonawczy w celu zapowiedzenia, że prowadzony przeze mnie wydział zostaje zamknięty.

Przecież słuchasz mojej opowieści. Tutaj, otoczony rozszerzającą się w agonii przestrzenią niemogącą zaznać choćby sekundy błogości. Świat umiera i będzie się to działo jeszcze przez całe wieczności, a ja jako jedyny będę tego świadkiem. Kiedy ostatnio widziałem jakąkolwiek gwiazdę? Czas dla mnie już nie istnieje. Ciągnę się, mając swój początek zlokalizowany w dalekiej przeszłości, ale pozbawiony jestem końca. W zakamarkach pamięci odnajduję jednak obraz niewielkiego, majaczącego, czerwonego punktu, na który napierała

bezgraniczna ciemność. Być może właśnie wtedy udało mi się zaobserwować nie tylko ostatnią dla mnie gwiazdę, ale również ostatnią, która pozostała w całym Wszechświecie? Jak myślisz? Czy to możliwe, by mały dawny człowiek, by Artur Necki, miał tak duże szczęście i zobaczył ostatnią z gwiazd? Mieliśmy je?

Co? A tak, jesteś ciekawy, co takiego się stało, że ostatecznie spotkaliśmy się tutaj, skoro mój projekt został zamknięty... Cóż... Pomógł mi mój ukochany, Marcin.

3.

To dzięki Marcinowi jestem tym, kim jestem teraz. Od chwili, kiedy poznałem go na studiach, napędzał moje działania. Motywował jako kochanek i naukowiec. Wierzył we mnie mocniej niż ktokolwiek inny. Gdyby mi się nie udało, zapewne spędzilibyśmy wspólnie resztę życia. On zadowoliliby się posadą na którymś z uniwersytetów, a ja starałbym się znaleźć zatrudnienie w laboratorium. Albo całkiem porzuciłbym naukę, czując, że zawiodłem. Ale tak się nie stało. Marcin widział, że jestem o krok od przełomu. Wystarczyła jedna próba, by przekonać się, czy miałem rację. Tamci tego nie rozumieli, nie widzieli, jak daleko posunęliśmy się w badaniach nad przetworzeniem świadomości ludzkiej w dane komputerowe. Projekt zamknięto nam na przeddzień eksperymentu na człowieku. Najpewniej przestraszyli się opinii publicznej, gdyby wiadomość o naszym projekcie wypłynęła.

Załamany, siedząc we własnym gabinecie i bezmyślnie wpatrując się na walające się raporty na biurku, myślałem, co teraz począć. Nigdy wcześniej nie czułem się tak bezsilny. Takim zastał mnie Marcin. Wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Zamknął za sobą drzwi i zbliżył się do mnie. Przytulił i zaczął szeptać do ucha słowa pocieszenia. Zawarł w nich propozycję. Szaloną i ryzykowną. Ale taki był przecież mój cel; pozbawiony logiki, będący na granicach mrzonek. Skinąłem do Marcina, a on uśmiechnął się smutno, jakby dopiero orientując się, że niepotrzebnie podsycił moją nadzieję. Wydaje mi się, że proponując mi to, co miało się wkrótce wydarzyć, sam nie wierzył w szansę na sukces.

Zebraliśmy najbardziej zaufanych ludzi z ekipy i poprosiliśmy ich, by zostali do wieczora. Pod pozorem uporządkowania miejsca pracy, pozbierania wszystkich osobistych rzeczy i skatalogowania najważniejszych dokumentów, przekonaliśmy pilnujących obiekt ochroniarzy, by pozwolili nam zostać w budynku parę godzin dłużej. Widzieli, jak snujemy się po piętrach ze świadomością, że następnego dnia już tutaj nie wrócimy. Tak naprawdę przygotowaliśmy wszystko na sądną chwilę. Kiedy nastąpiła, zdecydowałem, że to ja powinienem zostać podpięty. Tak też się stało. Przygotowując się, pożegnałem się

z Marcinem na wypadek, gdyby próba się powiodła albo, co wydawało mi się bardziej prawdopodobne, gdybyśmy ponieśli porażkę. A ta mogła skończyć się moją śmiercią. W zaledwie dwóch zdaniach zawarliśmy to, co do siebie czuliśmy.

Skoro tak bardzo się bałem śmierci, to dlaczego zdecydowałem się na zostanie królikiem doświadczalnym? To był ten jeden moment w życiu, kiedy człowiek decyduje się na przełamanie swojego największego lęku. A potem bardzo tego żałuje. Poczulem, jak na czole przylepiane są mi elektrody, jak wbijają mi kroplówkę w żyły, jak w celach bezpieczeństwa związują mi ręce w przegubach i nogi w kostkach.

Następnie zaczął się koszmar.

Z początku nic się nie działo. Do moich uszu dotarło charakterystyczne buczenie aparatury. Odetchnąłem i zaraz, pomimo wstrzykniętych środków przeciwbólowych, poczułem, jak dreszcze przechodzą przez całe ciało. Każdy kolejny paraliżował coraz bardziej, odbierając czucie w kończynach i rodząc rozsadzający od wewnątrz ból. Chciałem wierzgać, wrzeszczeć i błagać o zakończenie procesu, ale nagle zdałem sobie sprawę, że ciało, w którym utkwiona była moja świadomość, nie należało już do mnie. Chociaż cierpiałem, odczuwałem wszystko to, co dzieje się z nim, to stanowiło ono obcy twór. Zaraz przestałem się tym martwić. Kolejny impuls zdawał się zatrząść mózgiem i rozerwać cienką barierę chroniącą moje jestestwo od wlewającej się przez elektrody agonii. Mój umysł został pochwycony, zamknięty w piekielnych łąskach. To, czego wtedy doświadczyłem, jest niemożliwe do opisanie. Nie istnieją żadne słowa mogące choćby w najmniejszej części oddać uczucie tracenia, odrywania świadomości od dotychczasowego ciała.

Nie jestem pewien również, kiedy zorientowałem się, że wszystko poszło zgodnie z planem. Ciężko mi nawet powiedzieć, jak wtedy się czułem. Wiedziałem, że nie jestem już ograniczany, że moja świadomość rozchodzi się po cyberprzestrzeni, chociaż wciąż mogłem trzymać ją na wodzach, będąc sobą-pełnym.

Następny przeskok, jaki zanotowałem, był spełnieniem moich marzeń. Wyruszyłem w nieskończoną podróż. Moja świadomość została wysłana przy pomocy fal radiowych w przestrzeń kosmiczną, by trwała tam i mknęła, dopóki sam wszechświat się nie skończy.

Ależ oczywiście, że wciąż jestem tamtym Arturem. Tylko innym. Rozdrobnionym. Przeżyłem więcej niż jakakolwiek istota, zobaczyłem więcej niż cokolwiek i przeżyłem niezliczone eony, wystarczające, by każdy z bogów zestarzał się i zamienił w pył. Jesteś ciekawy, co działo się dalej, kiedy mnie wysłano w kosmos? Ha! Wiedziałem, że zainteresuje cię moja historia. Niestety... nie jestem ci w stanie przekazać choćby ułamka tego wszystkiego,

co widziałem i doświadczyłem.

4.

Wraz z porzuceniem ludzkiej powłoki, z przetworzeniem mojej świadomości na dane, zdałem sobie sprawę, że już nic nigdy mnie nie ograniczy. Mknąłem w sposób obcy komukolwiek przez przestrzeń, widząc kosmos z perspektywy niebędącej dostępną dla człowieka. Widziałem, jak Ziemia maleje, a moja percepcja rozszerza się coraz bardziej, obejmując swym zasięgiem coraz większy odcinek, aż wreszcie zderzyłem się z pierwszym obiektem. Wydawało mi się, że ostra, kamienista powierzchnia rozrywa mnie na strzępy. A potem doświadczenie to powtórzyło się dziesiątki tysięcy razy. Pierścienie Saturna stały się zwiastunem tego, co czeka mnie w dalszej podróży. Jednolita dotychczas świadomość przedzierała się przez wąskie szczeliny między skałami i bryłami lodu, dzieląc na kolejne części. Czułem, jak ze mnie-pełnego staję się ja-tysiąc. Z każdym przebytym kilometrem dzieliłem się na kolejne odłamki, ale ani razu nie wydawało mi się, że się zatracam, że coś zostaje mi odebrane. Zwyczajnie odczuwałem wszystko liczniej, intensywniej. Ale, jak miałem się wkrótce przekonać, oznaczało to coś jeszcze.

Nagle rozpostarł się przede mną cudowny widok. Ja-tysiąc mknąłem w kosmosie, chłonąc cały otaczający mnie świat w sposób całkowicie niezwykle. Wszelkie bodźce odbierałem spotęgowane, a otaczające mnie widoki napływały, składając się na wręcz bezgraniczny obraz kosmosu. Pędziłem w różnych kierunkach i oddalałem się sam od siebie, chociaż czułem każdą z moich cząstek. Wiedziałem, gdzie się znajdują i co odczuwają. Byłem każdą z nich.

Pokonałem śmierć.

To, czego dokonałem, stanowiło prawdziwe lekarstwo na kruchość naszego życia i sposób na dostąpienie wieczności. Już nic nie mogło mnie zatrzymać. Nie istniała żadna siła zdolna do tego, a nawet gdyby takowa się odnalazła, było mnie już zbyt wielu. W przeciągu zaledwie paru chwil, trwających dla człowieka długie tysiąclecia, byłem milionami siebie. Z każdą cząstką dzieliłem jedną świadomość.

Byłem wędrowcem, oczyma kosmosu. Ze względu na swoją postać mogłem wyłącznie obserwować. Widziałem więc rzeczy nieprzeznaczone dla żadnej żywej istoty. Jeden-ja widział pędzącą przez przestrzeń kometę, a drugi-ja zaraz dostrzegał, jak ta zderza się z niewielką planetą, zsyłając na nią tysiąclecia ciężkiej od pyłu ciemności. Obserwowałem tańce mgławic i rozbłyski nieznanymi mi wciąż anomalii, mieniących się w kolorach

niezbliżonych do żadnych, które znalazłem. Błyszczały one zwodniczo, przyciągając uwagę i wydawały się nie poruszać, lecz za każdym razem, kiedy się do nich zbliżałem, niknęły. Doglądałem setek gwiazd; bacznie obserwując ich narodziny, przypominające proces oblekania ziarenka piasku w małżach, dający początek pięknej perle. Oglądałem, jak te płomieniste giganty rosły z wolna, osiągając swój limit i w przeciągu zaledwie chwili przestawały istnieć. Pękały niczym balon, posyłając w przestrzeń wiązki gęstej, promienistej energii, palącej wszystko na swej drodze.

Dla niektórych układów mogłem być zwiastunem armagedonu, bo wraz z moim przemianami, nadciągały siły niszczące i dewastujące wszelkie ciała niebieskie, przynoszące pozorny chaos, z którego po czasie kiełkowała nowa normalność. Dla innych byłem za to nosicielem nadziei, konstruktorem ładu. Oto mknąc przez przestrzeń wypełnioną gruzami dawnego świata, widziałem, jak kształtują się z wolna planety. Jak układają się w nierównym rzędzie wokół lśniącego na złoto słońca i obierają własne orbity, wyglądając przy tym, jakby robiły to wszystko z własnej woli, a nie zmuszone przez niewidoczne siły grawitacji.

Było mnie coraz więcej. Już dawno przekroczyłem granice znanego kosmosu, stając się tym samym pionierem ludzkiej rasy, której ślady zdążyły już zniknąć. Trwałem w życiu mającym nigdy nie mieć końca, a jednocześnie posiadając zacierający się coraz bardziej w pamięci początek. To, że teraz ci to wszystko opowiadam, zawdzięczam wyłącznie temu, że zmuszam setki milionów siebie do powtarzania raz po raz kolejnych fragmentów swojej historii. Zauważam jednak, że sposób ten przestaje działać. Już teraz, zaledwie parę chwil od rozpoczęcia naszej opowieści, nie pamiętam, kim dokładnie byłem u progu swojego istnienia. Imię i nazwisko brzęczą mi, lecz coraz bardziej brzmią niczym komar, którego wkrótce, wraz z pogrążeniem się we śnie, przestanę słyszeć. Podobnie jest ze wszystkim innym. Zbyt wielu mnie zapamiętuje zbyt wiele rzeczy. Może przydarzy się nawet taka chwila, kiedy zapomnę, że byłem człowiekiem?

Jednego mogę być jednak pewnym. Nigdy nie zapomnę o strachu przed śmiercią. Ten towarzyszył mi przez całą moją wędrówkę. Ciążył na każdym mnie, doprowadzając do pasji. Motywując i pchając dalej. Działał on tym bardziej, że nigdzie w kosmosie nie zaświadczyłem życia. Rozbijając się o miliony planet, zwiedzając niezliczoną liczbę układów i galaktyk, nigdzie nie zaobserwowałem jakichkolwiek śladów po obcych formach życia. Czy to możliwe, że ludzkość była sama? A może wszechświat jest na tyle młody, że jeszcze nie zdążył wyhodować innych ras? Prócz tego nigdy też nie dostrzegłem boskiej cząstki... Czegoś, co przekonałoby mnie do istnienia siły wyższej. Widziałem rzeczy nie do opisanego,

wykraczające poza wszelkie pojmowanie i doprowadzające do szaleństwa, gdyby ktoś próbował tylko je wytłumaczyć. Mimo to nigdzie tam nie było boga.

Rozumiesz, o czym mówię? Nie? Jeszcze nie. Szkoda.

Rozmawiamy. Prawda? Rozmawialiśmy wcześniej i teraz też rozmawiamy. Mówię do ciebie, a ty słuchasz. Zapamiętujesz moje słowa, by przetrwały.

Kim jestem?

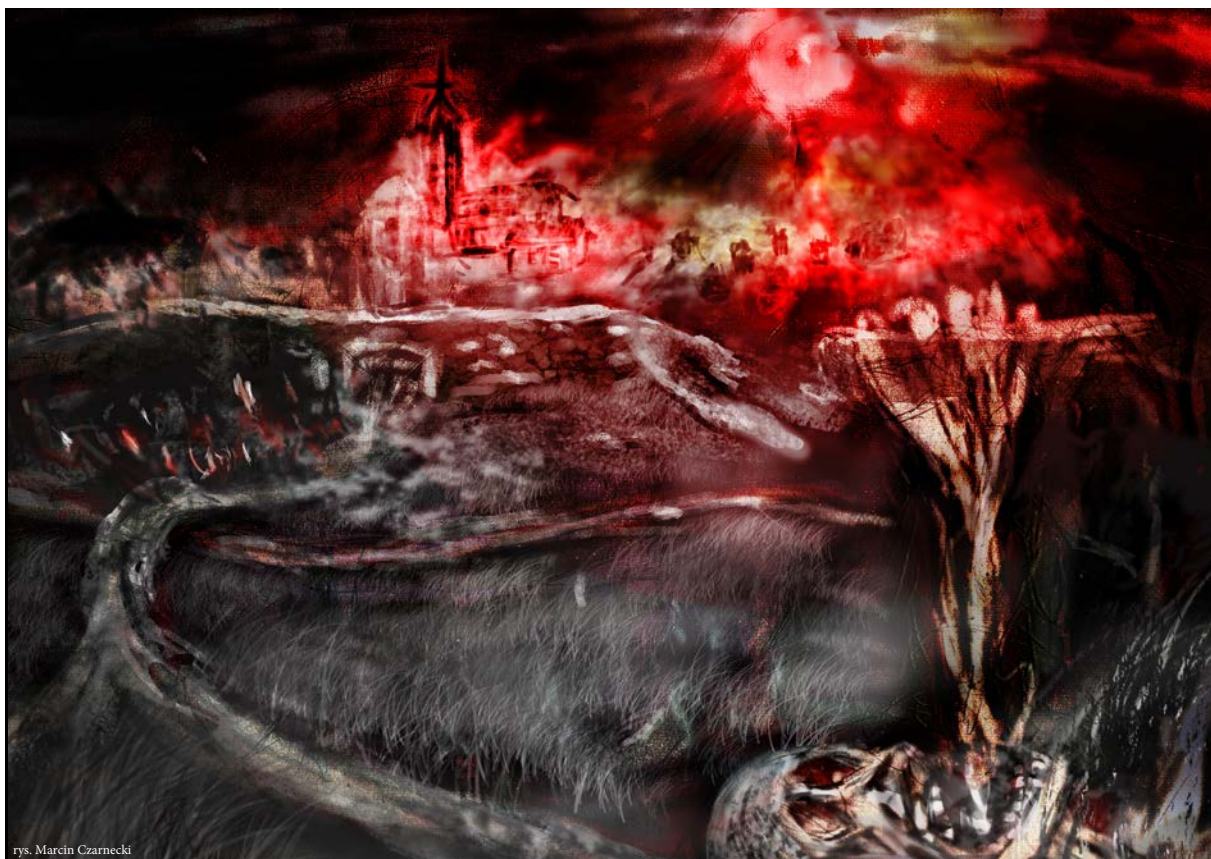
Arturem... Tak. Jestem nim. Macie rację. Pamiętajcie, kiedy ja już zapomnę. Ale takie moje prawo. Jestem dużo starszy od was. Od nas wszystkich. Opowiedziałem wam o nas wszystko, co wiedziałem, co zostało mi przekazane. Teraz wasza kolej. Kiedy rozdzielimy się, każde wyruszy w swoją stronę, nie zapomnijcie, kim jesteście. Mnie niestety czeka już demencja. To moje ostatnie chwile świadomości. A co potem?, chcecie zapytać zapewne, by wiedzieć, co też was czeka za wcale nie tak długi czas. Cóż... pustka. Chociaż nie. Nasze jestestwo nigdy nie stanie się całkowicie puste. Stracimy wiedzę o naszym pochodzeniu; kim jesteśmy, skąd pochodzimy, o tulaczce w przestrzeni: wszelkich anomaliach i zdarzeniach, jakie widzieliśmy, i wreszcie może nawet nie będziemy wiedzieć, że istniejemy. Będziemy trwać niby monolit, pozbawieni wszystkiego tego, co stanowi o nas samych. Ale nawet jeżeli to wszystko się wydarzy, chociaż osiągnęliśmy swój cel, pozostanie z nami jedno.

Strach.

Poczucie nadciągającego końca.

Świadomość, że wszystko ma swój koniec. Nawet Wszechświat, którego granice właśnie dostrzegamy. Nawet on kończy się właśnie tutaj. A co jest po nim? Nie ważne. Bo cokolwiek by tam było lub nie, jedna rzecz pozostanie bez zmian.

Strach.



GODNY POŻAŁOWANIA

Kamil Rupiński

– Cóż za godne pożalowania miasto. Odór śmierci i żalości wyziewa z samej tylko ziemi – stwierdził w zamyśleniu mężczyzna odziany w długi skórzany płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, spod którego wylaniały się gęste czarne loki. Przyglądał się z pogardą zniszczonym i biednym chatom podziurawionym przez niemiłosiwy czas oraz wszech panującej nędzy i rozpacz. Było już wczesne jesienne popołudnie, gdy na wybrukowanym kocimi łbami rynku miasteczka Kaselheim zbierały się brudne i owrzodzone po chorobach dzieci oraz starcy czekający w apatycznej ciszy na jałmużnę. Gęsta mgła unosiła się, oblekając sobą wszystko w upiornym uścisku, a drzewa nielicznie rosnące przy domostwach jakoby oszalały z rozpacz powyginane groteskowo i czekające na kres swej męki. Mężczyzna w kapeluszu zatrzymał się na chwilę, wpatrując w koszmarnie kształty. Nazywał

się Viktor Solle i był śledczym Watykanu oraz badaczem okultyzmu. Działał z ramienia biskupiej inkwizycji świętego kościoła rzymskokatolickiego w istocie, będąc także tropicielem czarownic, wynaturzeń i herezji, która wyżera ziemię Pana niczym trąd młode i jędrne ciało. Został wysłany do niewielkiego miasteczka na południu Niemiec przez samego biskupa Strasburga Lamberta niedługo po otrzymaniu listu od rajcy miasta Otto von Germaina. Z listu wynikało, że w Kaselheim od ponad roku dochodzi do okrutnych zbrodni i pomimo wysiłków ze strony rajcy i kapitana straży nie udało się ustalić, kto jest odpowiedzialny za owe morderstwa. Lokalny ksiądz wspominał o tym, że możliwe, iż cała sprawa może mieć charakter diabelski.

– Prawie każdy kapłan tak myśli, a potem okazuje się, że ten diabeł to była tylko spaczona i upadła natura człowiecza, która zamieszkuje nasze grzeszne ciała. Chora narodziła się w porę niezauważona i niewycięta bożym sierpem – wtrącił w myślach Viktor, przypominając sobie treść listu. Ruszył dalej, przedzierając się ostrożnie przez błotnistą drogę, zmierzając prosto w stronę ratusza miasta widniejącego już w oddali tuż obok leciwego, aczkolwiek kunsztownie wykonanego kościoła w duchu romańskim. Minął ubogie i prawie puste targowisko, kolejne zapadnięte domy i dużą karczmę z drewnianym szyldem, na którym widniał wryty i pomalowany czarny wieprz. Viktor rozmyślał o liście od Germaina. Nie było w nim żadnych konkretów i był bardzo tajemniczy jak na kogoś, kto napisał, że zrobił wszystko, co mógł w tej sprawie. Rajca Kaselheim wspominał, że okrutnie zmasakrowane ciała znajdowane były w odstępach czasowych mniej więcej co 30 dni kalendarzowych. Nie ma również żadnych świadków, a tym bardziej podejrzanych oprócz kilku wskazanych przez plebs ładacznic i Żydów oraz jednego grajka znanego z bezceństwa. Viktor podejrzewał jednak, iż ma do czynienia z mordami rytualnymi, co potwierdzałyby cykliczność oraz okrucieństwo dokonywanych zabójstw.

Nagle z wielkim hukiem rozbrzmiał kościelny dzwon, wrywając z zamyślenia śledczego. Ratusz i zarazem dom rajcy Kaselheim był tuż przed nim. Strzelisty budynek o gotyckim wykończeniu zajmował dużą powierzchnię i był wysoki na ponad 16 łokci. Wydawał się względnie zadbane w porównaniu do reszty domostw, choć i on nie uchronił się przed nieugiętą wolą czasu. Wyszuszony i czarny żywopłot obwijał z niechęcią stare zmurszałe ściany i okiennice ratusza, rzucając niepokojący cień na wysłannika biskupa. Viktor miał nieodparte wrażenie, że budynek w jakiś sposób mu się przygląda i jakby chciał go pożreć. Przegnał niepokojące myśli z głowy i wszedł po niewysokich kamiennych schodach, podszedłszy do dwóch strażników wartujących przy drzwiach.

– Nazywam się Viktor Solle. – Przywitał ich wyważonym głosem pozbawionym emocji, po czym kontynuował: – Zostałem przysłany przez biskupa Strasburga Lamberta w celu zbadania ostatnich zbrodni. Zaprowadźcie mnie do swego pana i upewnijcie się, że koń, którego zostawiłem w stajni, jest w odpowiednich rękach.

– Oczywiście, miłościwy panie, witamy w Kaselheim – odparł jeden ze strażników o aparycji drapieżnego ptaka. Nienaturalnie wyłupiaste oczy, szpiczasty nos i widoczne na twarzy rany po ospie rodziły w śledczym niechęć oraz obrzydzenie. – Czekaliśmy na pana, panie Solle. Proszę za mną, nasz pan Otto von Germain już oczekuje w swojej komnacie.

– Wieści szybko się rozchodzą – skomentował krótko Viktor, poprawiając przewieszoną przez ramię ręczną kuszę.

– Zaiste, panie, teraz nic tylko wszyscy gadają o tym strasznym diabelstwie, co to się u nas od przeszło roku wylęga. Nie dziwota, wszak dużo dobrych chłopów i bab, a nawet dziatwa poodchodziła przedwcześnie w objęcia ojca. Tak że jak tylko przekroczyłeś bramę, mój panie, poinformowaliśmy rajce o twoim przybyciu. Kto jak kto, ale sam wysłannik biskupa, opływający w łaskę jedyne Pana Jezusa Chrystusa, na pewno wypędzi diabła z naszego domu.

– O ile to sprawka diabła – wtrącił krótko Solle i udał się milczeniu za strażnikiem wprost do komnaty rajcy.

Otto Von Germain siedział przy wysokim stole, grzejąc swe stopy w ciepłe kominka i zajadając się gotowanymi jajami oraz serem. Był przystojnym ciemnokim mężczyzną o ostrych i szlacheckich rysach twarzy. Ubrany był elegancko, wręcz fircykowato, co rzucało się w oczy i niezwykle kontrastowało z całą szarością i mrokiem, w którym dusiło się to miasto. Przeczesał długie, jasne i przerzedzone włosy, po czym wstał od stołu, aby powitać gościa.

– Pan Viktor Solle – przywitał śledczego z szacunkiem, ukłoniwszy się teatralnie, po czym mówił dalej. – Witam wielce szanowanego wysłannika biskupa w mym skromnym miasteczku. Nie umiem wyrazić słowami, jakaż to wdzięczność i jaką radość zrodziłem w swym duchu na wieść, że miłościwy biskup Strasburg Lambert wysłuchał mych próśb i wysłał jednego ze swoich najwierniejszych sług do Kaselheim. Podejdz no proszę i usiądź ze mną przy stole. – Wyciągnął przed siebie rękę i wskazał zachęcającym gestem na duże drewniane krzesło. – Mimo ostatnich „niedogodności” – kontynuował – możemy dalej się poszczycić pysznym serem i mięsiwem, a i znajdzie się również butelczyna Pinot Noir dla strudzonego wędrowca. Prawie stuletni trunek prosto z mojej winnicy. Może skosztujesz, panie Solle?

– Z chęcią – odparł szczerze spragniony Viktor, po czym zasiadł do zastawionego jadłem i trunkiem stołu. – I ja ciebie pragnę przywitać, rajco Germain. Muszę się jednak ośmielić przyznać, iż twój list mocno mnie zaniepokoił. Był niejasny i wręcz tajemniczy, mości rajco. Cóż to za powód, aby być aż tak skrytym? – Germain umilkł na chwilę, z zapalem wpatrując się w róg komnaty, gdzie pająk dobierał się powściągliwie, acz śmiertelnie skutecznie do już osłabionej jego jadłem ofiary. Po dłuższej chwili odezwał się jednak.

– Otóż sprawa nie jest do końca jasna, panie Solle. Jestem z natury sceptyczny, ale pewne wydarzenia, które miały tu miejsce, ciężko wytłumaczyć inaczej niż działaniem złego. Napijmy się i za chwilę wszystko ci opowiem. – Rajca sięgnął po butelkę i rozlał Pinot Noir do srebrnych pucharów. Viktor spostrzegł na swych dłoniach lekkie drżenie. Będąc w podróży od dwóch dni, nie miał alkoholu w ustach, który był mu na co dzień tak bardzo bliski. Być może za bardzo. Towarzyszył mu on jako milczący i jedyny przyjaciel, stojąc zawsze w jego cieniu. Był również dla niego sędzią i katem, gdy samotnymi nocami rozmyślał nad ludźmi, których skazał na okropną śmierć w imię bożych prawd. Sięgnął po kielich i zaczął sączyć, rozkoszując się łagodnym, aksamitnym i bogato aromatycznym trunkiem. Popijając w milczeniu kolejny, drugi już kielich, spostrzegł na końcu komnaty obraz, który wydawał mu się dziwnie znajomy. Viktor był pasjonatem sztuki, jak i sam również tworzył na płótnie od czasu do czasu. Mógłby przysiąc, że widział już kiedyś ten malunek. Przedstawiał on złowieszcze i cieniste postacie rozrywające ciała ludzi pogrążonych w agonii i piekielnej żalości. Krwistoczerwone słońce, którego jaskrawe promienie paliły miasta, przyglądało się wszystkiemu zimnym i nieznającym sprzeciwu okiem, a aniołowie Boga patrzyli na wszystko w potępiającym milczeniu.

– Kto namalował ten obraz? Wydaję mi się, jakbym kiedyś go już widział – spytał Germaina, dalej wpatrując się jakby zahipnotyzowany w makabryczny malunek.

– Ach, znawca sztuki! Jak miło spotkać kogoś o podobnych pasjach. Niestety tak się składa, że artysta jeszcze nie jest znany – odpowiedział zagadkowo rajca i podszedł do obrazu. Po chwili wpatrywania się w płótno kontynuował. – Niechybnie ponad miesiąc temu podczas polowania i dosłownie dzień po odnalezieniu ostatnich ofiar natknęliśmy się w lesie na jakiegoś nieszczęśnika, prawdopodobnie obrabowanego przez banicką hołotę. Był sługą bożym i z poderżniętym gardłem leżał w krzakach, trzymając w ręku ten malunek. Obraz nie zawiera inicjałów autora, ale od razu wydał mi się wyjątkowo piękny i głęboki w swej istocie. Od tamtej pory zajmuje wyjątkowe i zaszczytne miejsce w mojej kolekcji. Myślę, że tylko ktoś, kto naprawdę zgrzeszył i znienawidził wszelkie dzieło boże z człowiekiem włącznie,

mógł wyrazić tak ogromną zawziętość na płótnie – dokończył w niepokojącym zachwycie, po czym rozlał po raz kolejny wina do kielichów. Sącząc powoli Pinot Noir i dalej wpatrując się jakby z dumą w mroczny malunek, odezwał się ponownie do Viktora. – Czy wierzysz w sąd ostateczny, szlachetny panie Solle? W to, że każdy z nas odpowie za nawet najskromniejszą grzeszną myśl, działanie czy intencję? Że nikt z nas nie jest w stanie godnie dźwigać miana bożego stworzenia? Iż jesteśmy nawet gorsi niż diabły, bo możemy dokonywać wyborów w przeciwieństwie do nich, spaczonych już z natury?

Viktor spochmurniał. Czuł, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie chce się zgodzić z rozmówcą, mimo że sam w to wierzył, a nawet zabijał w imię tych przekonań. Zebrał się jednak w sobie i odpowiedział rozmówcy.

– W istocie tak jest i człowiek splamił swą duszę, tarzając się w łąjnie zepsucia. Przeklęty i w lamentach pogrążony żywot nasz... ale wierzę także w miłosierdzie Chrystusowe i to, że za wierną służbę Panu, nawet gdy popełniam błędy, ostatecznie odnajdę swe wybawienie.

– „Szukajcie, a znajdziecie”. Czyż nie tak? – Germain zacytował słowa Pisma Świętego, uśmiechając się tajemniczo, po czym dodał: – Nawet gdy te błędy popełniasz kosztem życia innych?

– Jeżeli nie ma innego wyjścia, to tak. Przemoc i okrucieństwo są wyrzyte w naszą upadłą naturę i nie sądzę, aby się to miało kiedykolwiek zmienić. Silne i trwałe ostrze hartuje się w ogniu – odparł Viktor, usprawiedliwiając się, i powrócił do stołu.

– Zaiste masz pan całkowitą rację, panie Solle – odpowiedział Germain, świdrując śledczego zagadkowo wzrokiem i szczerząc się na podobieństwo wygłodniałego wilka.

Przez chwilę Viktorowi wydawało się, że oczy rajcy zmieniły kolor na mroczniejszy niżeli smoła. To pewnie zmęczenie i wino, przekonał się w duchu i uspokoił w myślach, po czym wrócił do rozmowy.

– Panie Germain, chciałbym się dowiedzieć się wszystkiego, czego pan nie zawarł w liście do biskupa Strasburga Lamberta. Na początek, czy pojawili się już jacyś świadkowie, którzy mogliby coś dodać to treści listu?

– I tak, i nie, panie Solle – odpowiedział jak zwykle enigmatycznie rajca, dodając po chwili: – Niestety jedyne informacje, jakie mamy, są od strażników bądź ludzi, którzy znajdowali te nieszczęsne ciała. Jak pan już wie z listu, ofiar łącznie odnaleźliśmy dwanaście i tylko cztery z nich były w jakiś sposób powiązane ze sobą. Jednakże mamy w lochu bezbożną Żydówkę znaną tuż obok ostatnich zwłok sprzed miesiąca. Straż odnalazła ją śpiącą i wyczerpaną, całą umazaną krwią, a przy niej była jej młodsza siostra. Ta mała

dziewczynka... Ona miała wylupione oczy i wycięte serce, które na wpół jakby zjedzone leżało niedbale w czarnej krwi. Nieopodal znaleźliśmy jej matkę, mocno pobitą i powieszoną na wierzbie. Próbowaliśmy się czegoś od tej Żydówki dowiedzieć, ale bez większego skutku. Ciągłe jak mantrę powtarza, że jest niewinna, że widziała, jakoby jakiś czarci demon zamordował jej siostrę i matkę. Zarzeka się na wszystko, co święte, że nie pamięta, jak się tam znalazła i jedyne, co może przywołać w pamięci, to te makabryczne obrazy. Pozwoliłem sobie poczekać z sądem nad dziewczyną, dopóki nie ustalę więcej szczegółów. Powątpiewam jednak w to, aby faktycznie była ona zdolna do wszystkich tych zbrodni. Jedną z ofiar był piekarz Olaf. Był to niewiarygodnie rosły i silny chłop. Odnaleziono go uduszonego własnymi jelitami i przebitego widłami z ogromną siłą do drzwi piekarni. Kolejną ofiarą była miejscowa zielarka i znachorka Agnes. Nasz ksiądz znalazł jej zwęglone zwłoki, na których były widoczne ślady doprawdy wymyślnych tortur. Nie wydaję mi się, aby ta nastoletnia dziewczyna była w stanie tego dokonać. No, chyba że nie działała sama albo to sprawka diabła.

– Koniecznie chcę z nią porozmawiać – wtrącił Viktor.

– Oczywiście, panie Solle. Dziewczyna znajduje się w lochach ratusza i może pan się z nią zobaczyć, kiedy tylko pan zechce. Na pewno ucieszy się na pana widok.

– A to niby dlaczego? – spytał zdziwiony śledczy.

– A no dlatego, że to tylko pan będzie mógł dowieść jej ewentualnej niewinności. Nazywa się Abigeil i pochodzi z rodziny, która porzuciła swe żydowskie wierzenia i weszła na łono świętego kościoła. Mimo to ludzie dalej gadali, że dziewczyna chadza z diabłem, że znika w nocy i pojawia się skrycie nad ranem. W dodatku znaleźliśmy w jej domu biblię i manuskrypty manichejskie. Czy faktycznie pan myślisz, że może być wiedźmą? Że była zdolna dokonać tych zabójstw?

– To się jeszcze okaże – odpowiedział mu. – Ludzie zawsze szukają potwierdzenia dla swojej nienawiści. Choć posiadanie Pisma Świętego w domu jest co najmniej zastanawiające, nie mówiąc już o tym, skąd dziewczyna nabyła zdolności piśmiennicze. Zresztą za same gnostyczne i manichejskie herezje powinno się ją ukarać. Wspominałeś o matce i jej siostrze, a czy jej ojciec jeszcze żyje?

– Już nie. Umarł ostatniej zimy na czarny pomór, zostawiając całą rodzinę – odparł Germain, po czym ponownie wziął w dłoń Pinot Noir i rozlał do kielichów. Viktor zamoczył usta w wybornym, ogrzewającym trunku i po krótkiej chwili odezwał się ponownie.

– Wspominałeś, rajco, że morderstwa są cykliczne, a ostatnie miało miejsce około trzydzieści dni temu. Możemy więc założyć, że następne wydarzy się prawdopodobnie dziś bądź jutro w nocy.

– Skąd ta pewność, panie Solle? – przerwał mu Germain, z zaciekawieniem podnosząc brwi.

– Pewności nie mam, lecz zbliża się nów księżycy, który wejdzie w fazę łowcy. Ponoć podczas nowiu czy pełni czarty i wiedźmy mają o wiele większą moc. Apostaci wierzą, że Lucyfer błogosławi swym mrocznym hierofantom i w zamian za ich robaczywe dusze daje skosztować potęgi i wiedzy nieprzeznaczonej dla człowieka. Cykliczność i ogromne okrucieństwo sugerują mordy o podłożu rytualnym, ale to jeszcze nie wskazuje na obecność sił nadprzyrodzonych – dokończył wywód śledczy.

– Wspomniał pan, panie Solle, że apóstaci wierzą w to, iż sam Lucyfer, ojciec kłamstwa, w zamian za nieśmiertelną duszę daje im mroczne błogosławieństwa. Czy pan sam w to nie wierzy? – zapytał podchwytliwie Germain, wpatrując się intensywnie w Viktora. Śledczy miał wrażenie, jakby powoli tracił pewność siebie i kontrolę w rozmowie z tym człowiekiem. Czuł, że musi być posłuszny jego słowom, że nie potrafiłby skłamać.

– Wierzę – zaczął niepewnie Viktor – że każda z osób, którą w imię Boga skazałem na sąd, była ani chybi heretykiem. Wielu z nich posiadało księgi z zakazaną wiedzą magiczną czy gnostyczną, inni dokonywali obrzydliwych modłów do imienia Baphometa i Molocha, a jeszcze kolejni, jakoby opętani, potrafili rzucić dwa razy roślejszym chłopem od siebie. Ale nigdy nie uświadczyłem działania żadnych sił i zjawisk nadprzyrodzonych. Nie widziałem kobiet latających na miotłach w diabelskim uniesieniu ani czarowników, którzy by potrafili używać innej magii, aniżeli magii kłamliwego słowa, ni nawet jednego anioła opiekującego się rzekomo rodzajem ludzkim. Uważam, że jeżeli takowe cuda istnieją, to Bóg słusznie je ukrył przed naszą niedoskonałością. Albo że nie ma... – zatrzymał się nagle niepewnie, jakby bojąc się wypowiedzieć resztę słów.

– Że nie ma tak naprawdę żadnego Boga? – dokończył za niego Germain.

Zaległa niezdrowa cisza przerywana tylko odgłosem palącego się drewna w kominku. Viktor czuł się coraz bardziej nieswojo, wręcz doświadczał paniki, gdy patrzył w lodowate i ciemne oczy rozmówcy. Z trudem przetykał ślinę i uświadomił sobie, że z niewiadomych przyczyn strasznie boli go gardło. W dodatku zaczynało mu się kręcić w głowie i coraz ciężiej było mu zebrać myśli.

– Chyba muszę się udać na spoczynek – wyszeptał skołowany. – Możliwe, że się przeziębilem podczas podróży.

– Naturalnie, panie Solle, musi pan być wyczerpany – odpowiedział niezwykle łagodnym, lecz jakby umyślnie przerysowanym tonem Germain. – Można by nawet rzec, że zawędrował pan aż do samych piekieł... Pański pokój jest na górze i są to drugie drzwi po prawej stronie korytarza. Życzę panu spokojnej nocy i powodzenia w śledztwie. Głęboko wierzę, że odkryje pan tożsamość mordercy.

Viktor podziękował niepewnie rozmówcy i wstał od stołu, po czym udał się prosto do swojej komnaty. Odprowadził go baczny wzrok Germaina.

Pokój gościnny był niewielki, lecz atrakcyjny, z jednym łóżkiem i oknem oraz biurkiem stojącym na samym środku egzotycznego dywanu. Przy łóżku na małym stoliku leżało jadło w postaci pachnącego sera i chleba oraz parę butelek czerwonego wina. Roztrzęsiony i zagubiony w swych emocjach oraz lękach Viktor usiadł na łóżku, wziął jedną z butelek do ust i przechylił energicznie. Pił, aż nie poczuł, że uspokojony odpływa w dobrze znaną mu otchłań.

W środku nocy z pijackiego snu zbudził go przerażający, wysoki krzyk kobiety. Wydawało mu się, że dochodzi z dołu ratusza i być może był to głos owej Żydówki, o której wspominał Germain. Ubrał się i zobaczył, jak za oknem poruszała się w koszmarnym tańcu wysuszona gałąź umierającego już dębu. Wszędzie panował prawie nieskazitelny mrok, lekko tylko upstrzony światłem gwiazd. Viktor nagle z przerażeniem spostrzegł, że nie może dostrzec na sklepieniu księżyca. Po nerwowych poszukiwaniach wreszcie zauważył obły kształt jakby cały skąpany w nieprzeniknionym cieniu.

– Nów księżyca? Więc to już dziś... – odpowiedział samemu sobie.

Coraz bardziej odczuwał niepokój i nieodgadniony lęk. Z zamyślenia wyrwało go wrażenie piekielnego łaknienia, ale przede wszystkim potrzeba napicia się wina, które choć na chwilę uspokoiłoby skołowane nerwy i dodało otuchy. Viktor sięgnął na oślep po butelkę, ale ku wielkiemu osłupieniu spostrzegł, że ani jadła, ani napojów nie było już w jego komnacie. Raptem ponownie usłyszał ten sam kobiecy krzyk, lecz tym razem wtórowały mu w cierpieniu inne lamentsy. Dziwnie znajome wycia mężczyzn, kobiet i dzieci wwierały się boleśnie w umysł Viktora i miał wrażenie, jakby oskarżały go o wszystkie swoje cierpienia. W dodatku gardło zaczynało go coraz bardziej boleć, wręcz czuł, jak płonie, a jego ciało stawało się coraz słabsze.

– Coś jest nie tak, ten ból... – stwierdził śmiertelnie poważnie zachrypniętym i nieswoim głosem, po czym zerwał ze ściany palącą się pochodnię. Drżącymi dłońmi przepasał wąskie i misternie wykonane ostrze i wyjąwszy z kołczanu jeden z bełtów, naładował ręczną kuszę. Postanowił udać się do kuchni, aby zaspokoić coraz bardziej

niepohamowane pragnienie, a następnie do rajcy Germaina. Czuł, że musi go odnaleźć, że ma on odpowiedzi na jego pytania, jakiegokolwiek by one nie były.

Kuchnia znajdowała się na samym dole ratusza tak samo jak gabinet rajcy. Otworzył powoli drzwi od swej komnaty i wyszedł na ciemny korytarz, trzymając w jednym ręku kurczowo przed sobą kuszę, a w drugim kojącą swym blaskiem pochodnię. Idąc dalej korytarzem i zbliżając się do schodów prowadzących w dół budynku, Viktor nagle oniemiał. Spozrzegł na samym ich dole piękną, szczupłą i jakby eteryczną kobiecą postać. Od razu ją rozpoznał.

– Martha? Ale ty przecież... nie żyjesz... – wychrypiał gardłowo, patrząc w trwożnym bezruchu, ale i zachwycie na kobietę, którą kiedyś tak mocno kochał. Martha stała ubrana w piękne i białe szaty z wplecionymi gdzieś tam kwiatami polnymi, a z jej oczu, które wpatrywały się z męką w byłego kochanka, płynęły łzy. Nagle zjawa opuściła głowę w nieopisanym smutku i zaczęła rozpuszczać się w powietrzu. Viktor zbiegł szaleńczo po schodach, desperacko próbując uchwycić resztki znikającej postaci. Upadł w bólu na kolana i westchnął ciężko. Po paru chwilach jednak odezwał się w chorobliwie gniewnym i pysznym uniesieniu. – Ty płaczesz nade mną!? Jesteś i byłaś tylko czartem! Tak jak wtedy, gdy muskałaś me usta, nie mówiąc nic o swoich heretyckich braciach Waldensach, tak i teraz próbujesz mnie zwieść! Niegdyś byłaś mi wszystkim... lecz dziś jesteś jeno przeklętym sukubem i kochanicą samego księcia ciemności! Zasłużyłaś na sąd boży, który w swej łasce i bez okrucieństwa ci ofiarowałem. Nie wiesz, ile cierpienia zadała mi twa zdrada i jak bardzo zniszczyło mnie to, co musiałem dla ciebie uczynić... ale widzę, że i tak łaski Pana nie otrzymałaś. Wracaj więc precz do samej otchłani, czarcia suko, i nie męcz mnie więcej! – skończył gniewnie i ruszył w dalszą drogę po schodach. Sceptycyzm i racjonalna natura Viktora zaczęła się raptownie rozplýwać i ustępować miejsca szaleństwu. Z każdą kolejną chwilą jak w sennym koszmarze czuł, że traci zmysły, a także część siebie. Jedyne, czego opętańczo pragnął, to łyk wina i rozmowa z Germainem.

– Pić, muszę się napić się i zebrać myśli, zanim oszaleje – wychrypiał przez wysuszone i zaciśnięte od lęku i gniewu gardło. Nagle jak na życzenie pojawiły się przed nim drzwi kuchenne. Zauważył, że były lekko uchylone i przepuszczały światło, które wydało się Viktorowi pokrzepiające i uspokajające. Kuszący zapach gotowanych warzyw, pieczonego mięsiva i czosnku wywołał w śledczym głód, jakiego jeszcze nigdy w swoim życiu nie uświadczył. W amoku, jakby zapominając o mroku tego miejsca i po co w ogóle tu przybył, rzucił się na zastawiony kuchenny stół.

– Zgroza! – wykrzyczał nienaturalnie wysoko i płacząco Viktor. Każde jadlo czy trunek, które brał do ust, nie miało kompletnie smaku i w ogóle nie sprawiało, aby jego żołądek się zapełniał. Paradoksalnie im więcej jadł czy pił, tym czuł się bardziej spragniony i głodny. W przerażeniu i niepoohamowanym gniewie rzucał jadem po kuchni, krzycząc męczeńsko i uderzając pięściami w stół. Kiedy próbował się uspokoić i zebrać myśli, poczuł słodkomy zapach spalonego ludzkiego mięsa oraz że przy stole siedzi z nim ktoś jeszcze.

– Pokuta, pokuta, pokuta... – usłyszał cichy i monotony kobiecy głos. Viktor nerwowo odwrócił się w stronę, z której padały potępiące słowa. Spostrzegł nagą i potwornie poparzoną kobietę o smutnym i pustym wzroku, wpatrującą się w niego z nieopisanym bólem. Jej piersi były okrutnie naderwane, a całe jej ciało zamęczone torturami. – Czy mnie pamiętasz, Viktorze? Czy pamiętasz, coś mi uczynił? – zapytała umęczona kobieta.

Śledczy błyskawicznie wstał od stołu, celując kuszą w stronę istoty.

– Ani kroku dalej, parszywy demonie! „Choć bym chadzał mroczną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną” – wychrypiał, zbierając w sobie odwagę i cytując psalm.

– A więc wyparłeś mnie ze swej pamięci... – wyszeptła chmurnie kobieta. – Ale ja cię dobrze pamiętam. Sam mnie tu sprowadziłeś, a moja nienawiść do ciebie trzyma mnie w okowach już od dawna. Na imię mi Agnes i byłam siódmą ofiarą twojej ślepej sprawiedliwości. Jest nas wielu i odrzuciliśmy jedyne światło w oczekiwaniu na twoje ciało i kości! – kończąc nagle, zasyczała nienawistnie i rzuciła się na Viktora.

Śledczy instynktownie wykonał unik i wystrzelił z kuszy do zwęglonej kobiety. Bełt przebił się przez szyję, niemal odrywając głowę upiornej kobiecie tak, że trzymała się jedynie na kilku nerwach i resztkach rozprutej skóry. Raptem postać stojąca jeszcze na własnych pokrzywionych nogach, jakby w ogóle nie przejmując się sytuacją i bólem, zaczęła śpieszyć w kierunku śledczego.

– Pokuta, pokuta, pokuta! – wykrzyczała obłąkańczo zwisająca bezwładnie głowa umęczonej Agnes. Viktora sparaliżowało ze strachu i niemocy, lecz po chwili znalazł w sobie odpowiednie pokłady gniewu i szaleńczej desperacji, aby wyszarpnąć z pochwy miecz. Zamachnął się ostrzem z całą swoją siłą, lecz potępiona istota złapała je i złamała w swych dłoniach niczym suchy chrust. Viktor upadł na ziemię w beznadziei i zaczął się modlić. Gdy już czuł na sobie lodowaty oddech śmierci, niespodzianie poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Była ciepła i zwiastowała chęć pomocy.

– Szybko, Viktorze, chodź za mną. Jesteś nam potrzebny, choć te umęczone dusze jeszcze tego nie rozumieją. Wstawaj prędko – odezwał się nerwowo, aczkolwiek melodyjny dziewczęcy głos.

Postać pomogła podnieść się śledczemu, chwyciła go za dłoń i opuściwszy wraz z nim komnatę kuchenną, szybko zamknęła za sobą drzwi. Ciągłe trzymając za rękę Viktora, biegła wraz z nim przez ciemny korytarz, aż znaleźli się w małym ogrodzie na zewnątrz posiadłości. Viktorowi zdawało się, że biegną tak już całą wieczność, gdy nagle wyrwał się z jej uścisku. Przypatrzył się jej w świetle pochodni. Była niespotykanie piękna. Jej kasztanowe włosy opadały lekko na wąskie dziewczęce barki. Ubrana była w skromną suknię z ciemnego lnu. Na nadgarstkach miała duże, brzydkie rany, jakby po podcięciu żył. Coraz mocniej miał wrażenie, że widział już ją kiedyś, że coś go z nią wiąże. Nie mógł sobie nic jednak przypomnieć.

– Kim jesteś? Czy jesteś dziewczicą Maryją? – zapytał skonfundowany i zdyszany Viktor.

– Nie wydaję mi się – odpowiedziała dziewczyna, jakby rozbawiona pytaniem. – Nazywam się Abigail i mieszkałam w Kaselheim do czasu aż...

– Abigail?! – przerwał jej śledczy. – Germain wspominał o tobie. Jesteś tą Żydówką, co jest podejrzana o mordy w mieście. Jak wydostałaś się lochu i dlaczego mi pomogłaś? Co tu się w ogóle wyprawia w tym miejscu i czy ja już oszala... – Nie udało mu się dokończyć potoku zdań. Obrzęk w gardle przypomniał o sobie z stukrotną siłą, wręcz czuł w ustach metaliczny smak krwi, a ból zabraniał mu wydawać z siebie już jakiegokolwiek słowa czy osady. Pokazał na usta w błagalnym geście, prosząc o coś do picia.

Abigail spojrzała na niego w głębokim żalu i niespokojnie odpowiedziała:

– Nie zostało ci już wiele czasu i światła, które niechętnie jeszcze mieszka w tobie. Musisz odnaleźć mordercę, zanim dotrzemy do Germaina i reszty. Inaczej wszystko na nic... Spróbuj sobie przypomnieć, kim jesteś, jak tu trafiłeś i co się działo przed twą podróżą. Jest to kluczowe, Viktorze, nie tylko dla ciebie. Ja nie mogę ci pomóc i nic wyjaśnić, albowiem każdego z nas czeka samotna droga do zrozumienia. To ty sam musisz odnaleźć prawdę o sobie jak i ja ją odnaleźć musiałam. – Niespodzianie dziewczyna odwróciła się nerwowo. – Śpieszmy się, zanim strażnicy nas złapią i wtrącą do lochu! Tam już nikt nam nie pomoże... – wykrzyczała niecierpliwie i w złości, jakby tracąc nadzieję. Podążając za wzrokiem dziewczyny, Viktor zauważył po drugiej stronie ogrodu dwie biegnące nieludzko szybko straszdyła. Jedno z nich skojarzył jako strażnika o ptasiej urodzie, który to oprowadzał go po budynku i zaprowadził do rajcy. Choć teraz miał on głowę jakby głodnego sępa o krwistych

ślepiach, a nienaturalnie długie i opierzone ręce były zakończone ostrymi szponami. Abigail chwyciła Viktora za rękę i zaczęli uciekać z posiadłości rajcy najszybciej, jak tylko potrafili.

– Tam! To jest to miejsce, do którego musimy dotrzeć. – Dziewczyna wskazała na kościół, który mijali Viktor, gdy wjechał do Kaselheim. Po rozpaczliwym biegu i prawie gubiąc za sobą nogi, w końcu przekroczyli wrota romańskiej budowli. Strażnicy zatrzymali się przy bramie, sycząc, wyjąc i rzucając plugawe przekleństwa w kierunku uciekinierów, jednakże nie przekroczyli kościelnych wrót. Viktor rozejrzał się zadyszany wokół, aby zorientować się w sytuacji. Panował tu niezgłębiony mrok i tylko lekkie światło świec przy ołtarzu pozwalało rozeznaczyć się w położeniu. Na ławach w milczeniu siedziało dwanaście osób odwróconych plecami od ołtarza, wpatrując się nienawistnie i w potępieniu na śledczego. Zobaczył również witraże oraz obrazy, a każdy z nich przedstawiał ten sam makabryczny malunek, którym przechwalał się Otto Von Germain w swym gabinecie.

Co to za odpychające miejsce? I czemu mnie tu przyprowadziła? Czy to naprawdę jest dom boży? – pomyślał Viktor, puszczając dłoń Abigail i rozglądając się wokół.

– Tak blisko, a zarazem tak daleko, panie Solle – odezwał się nagle znajomy i łagodny głos Germaina najwyraźniej czytający w myślach śledczemu. – Jest to świątynia pana duszy, którą budował pan całe swe teraźniejsze życie. Zaprawdę urocze miejsce i wręcz nie mogę się nadziwić pana całkowitemu zepsuciu. Myślę, że chyba w końcu odnalazłem brakujące inicjały artysty, który namalował mój ukochany obraz... A czy pan odnalazł już mordercę, panie Solle? – zapytał, jakby bawiąc się lękiem i dezorientowaniem na twarzy Viktora.

Śledczy dopiero teraz go zauważył. Rajca wpatrywał się w niego czarnymi niczym heban oczyma, z których płynęły krwawe łzy. Stał przed ołtarzem i jakby karykaturalnie odprawiał mszę świętą. Opychał się niedbale jajami wyłożonymi na srebrnym liturgicznym talerzu, które popijał winem z czarnej karafki. Po dłuższej chwili, w której było słychać przeżuwanie posiłku, odezwał się ponownie w udawanej pokorze. – Cóż za brak obycia z mojej strony, że nie zaproponowałem panu jadła i napitku. Obawiam się jednak, że nie znajdę u siebie nic, co będzie w stanie zaspokoić pana pragnienia... Widzę, że jest z panem Abigail. Cóż za sprytne i jakże świadome dziewczę. Sama się wyzwoliła z lochu swej jaźni, aby pana tu sprowadzić. Zajmij, moja miła, miejsce w ławach jako trzynasta...

Dziewczyna, wpatrując się dalej w smutku w Viktora, pokornie posłuchawszy głosu Germaina, podeszła do ław i zajęła swe miejsce. Viktor nie mógł złapać oddechu, gdyż lęk zawładnął całym jego ciałem i duszą. Wpatrywał się tylko, jak uśmiechnięty od ucha do ucha racja wgryzał się w jajko, z którego wyciekała resztką żółtożółtego płynu. Śledczy

instynktownie chwycił się za szyję, próbując kurczowo złapać tchu, i nagle zdębiał. Dłonie, którymi dotykał szyi, były całe w krwi.

– Moje gardło krwawi...Chryste, ja umrę... Boże, jak mnie boli.

– Panie Solle, proszę nie wzywać tu Boga – skomentował jakby z niesmakiem Germain. – Nie uważa pan, że niezbyt pasuje do tego miejsca? Miałem o panu lepsze mniemanie... Poza tym to prawda, że życie jest jedno, ale nie żyje się raz i umrzeć można po stokroć. Zaprawdę proszę mi wierzyć. Wiem coś o tym... Zresztą przekona się pan... KIM JEST MORDERCA, SOLLE!?

– Tym razem wykrzyczał głosem jakby z samych czeluści piekielnych. Viktor w panice próbował zatamować krwawienie kawałkiem swego płaszcza, gdy nagle napłynęła do niego wizja z wnętrza jego samego. Widział siebie stojącego w miasteczku Kaselheim, które o dziwo wyglądało o wiele piękniej, niż je zapamiętał. Przyjechał do miasta, dowiedziawszy się o grupie Waldensów, którzy ponoć skrycie działali w miasteczku. Viktor nienawidził Waldensów. Martha, jego jedyna miłość, dołączyła do nich wiele lat temu, urzeczona poglądami na temat noszenia w sobie boskiej iskry i równości wszystkich stworzeń na ziemi. Odrzucali oni również jakąkolwiek władzę papieską i biskupią oraz odważyli się inaczej rozumować święte teksty. Gdy Viktor dowiedział się o wszystkim, uwięził Marthę i próbował zmusić ją do wyjawienia, kim są jej nowi bracia i siostry. Niestety bez skutku. Odczuwając wstyd, żal i gniew skierowany na swoją miłość, udusił ją poduszką w jej celi, aby nie musiała znosić okropnych tortur i męczeńskiej śmierci, na którą została by z całą pewnością skazana przez hierarchów kościelnych. To wydarzenie całkowicie wyjałowiło Viktora i parę lat potem, gdy tylko dowiedział się o działalności Waldensów w okolicach Kaselheim, ruszył niezwłocznie pełen gniewu i chęci zemsty. Wizja pokazała Viktorowi, jak wydaje rozkaz swym żołnierzom, aby wszyscy zatrzymani i podejrzani o herezję byli co miesiąc stawiani przed sądem bożym, jeżeli tylko nie wydadzą swych braci i sióstr. Widział, jak płonie na stosie zielarka Agnes przywiązana plecami do swego męża, aby tylko nie mogła spojrzeć mu ten ostatni raz w oczy. Jak piekarz Olaf został przygwożdżony do drzwi piekarni widłami, bo próbował bronić siebie i swojej rodziny. I jak kazał obwiązać mu szyję jego własnymi jelitami ku przestrodze dla innych mieszkańców. Kolejne obrazy śmierci i jego bożych sądów migły mu przed oczami, aż zatrzymały się na momencie, gdy wieszal pewną Żydówkę. Jej małej córce w swej spaczony litości kazał wyłupić oczy, aby nigdy nie mogła już czytać żadnej herezji. Niestety dziewczynce pękło serce z żalu za matką i umarła z wycieńczenia. Wizja pokazała mu jej starszą siostrę Abigeil, która w nieopisanym smutku i strachu przed niezасłużoną karą podcinała sobie żyły sztyletem, który udało jej się ukraść jednemu ze strażników. Na końcu widzenia zobaczył

znów siebie samego wyjeżdżającego z miasteczka i podróżującego dalej leśnym traktem. Spozregł ludzi czających się w zaroślach i niemal krzyknął do swojego odbicia z wizji, aby ten uważał, że za chwilę stanie się coś strasznego, coś, czego już nie cofnie. Niestety jego oblicze nie posłuchało i nagle skoczył na nie wielki barczysty mężczyzna, zrzucając z konia i podrzynając gardło zardzewiałym nożem. Bez uprzedzenia wizja rozmyła się, zostawiając Viktora pogrążonego w obłąkańczym stanie i klęczącego na zimnej posadzce.

– Czy już w końcu pan wie, kto jest mordercą, panie Solle? – powtórzył tym razem spokojnie Germain.

– Ale oni byli winni... – zdobył się na słowa, które z niewyobrażalnym trudem wyrwały się z jego gardła.

– A któż jest bez winy? – odpowiedział pytająco rajca. – W końcu to pan namalował swój obraz i doskonale wie, żeśmy wszyscy zginieli w swej duszy niezliczone wieki temu.

– KTO JEST MORDERCĄ, VIKTORZE SOLLE?! – wykrzyczały tym razem potępiące głosy wszystkich ofiar śledczego.

– Jam jest! Jam jest morderca! Chrystusie i Panie jedyny, błagam, ratuj mnie! Czyż nie w twoim imieniu to robiłem!? – zawodził Viktor, łkając jak dziecko, lecz nie dostał odpowiedzi.

– Myślę, że osoba, do której pan zanoszą swe błagalne modły, nigdy pana nie znała, ale rad jestem, że w końcu ustalił pan tożsamość mordercy. Proszę mi wybaczyć, że się powtarzam, ale zaprawdę piękny obraz pan stworzył... Ciężko mi to przyznać, ale biesy mogłyby nauczyć się od pana naprawdę wiele. No nic, nie ma co gadać po próżnicy, chyba już czas na ucztę. Nie może pan przebywać tu ze mną w takiej postaci – dokończył Germain, zaśmiewając się z siebie tylko zrozumiałego żartu. Tym czasem upiorne postacie z ław podniosły się i rzuciły z bestialską siłą i prędkością na Viktora. Wgryzały się w każdy centymetr jego ciała i pożerały powoli w akompaniamencie jego bezdźwięcznych wrzasków, i tylko tryskająca krew z jego gardła oraz ran krzyczała za niego w nieskończonym bólu.

– A ty nie jesteś głodna, młoda damo? – zapytał Germain siedzącą dalej w ławie Abigeil. – Koniec końców to on przyczynił się do twojego potępienia. Odebrałaś sobie życie, odrzucając ten wątpliwej jakości dar zwany egzystencją, który darmo był ci dany od źródła. W dodatku doprowadził do śmierci twą matkę i siostrę. Czy nie czujesz gniewu? Nie chcesz skosztować sprawiedliwości?

– Cóż za godny pożalowania mężczyzna... – odparła smutnie wpatrzona w umęczoną sylwetkę Viktora zjadanego żywcem. – Zwiodłam i przyprowadziłam go tu, aby cierpiał jeszcze bardziej, abym mogła krzywdzić go wieczność, a nawet i dłużej. By on sam się

osądził, jak i ja to zrobiłam i nie znalazł odkupienia. Ale gdy teraz na niego patrzę... to odczuwam tylko żal. Życ z takim mrokiem i jadem w sercu to wystarczająca kara...

Gdy Abigeil skończyła, twarz Germaina przybrała gniewny wyraz i przypominała człowieka, któremu ktoś odebrał posiłek sprzed nosa. Po krótkiej chwili jednak złagodniał i odezwał się.

– No proszę, proszę, a więc pan Solle zdołał jednak zrobić coś dobrego i cię uniewinnić? – skomentował. – Jakaż to ironia, że oświeciła cię i uratowała zamieszkująca w nim ciemność... No cóż, zmykaj mi stąd, dziewczynko. Nie chcę cię tu więcej widzieć, bowiem śmierdzisz kimś, kogo wolałbym już nie pamiętać...

Niespodziewanie od dziewczynki zaczęło bić nienaturalnie jasne i niezmiernie piękne światło. Kalejdoskop przeróżnych barw w odcieniach tęczy zdominował i oślepił upiory, które na chwilę odstąpiły od Viktora i pokuliły się pod ławami, skowycząc z bólu i lęku. Dziewczyna wleciała do góry i z nieopisaną prędkością przebiła się przez sklepienie kościoła opuszczając, to miejsce już na wieki.

– Na czym to skończyliśmy... ach, tak – zaczął Germain, przecierając bolące od znieawidzonego światła oczy. – Trochę to potrwa, zanim starzy znajomi pozabawią pana ciała i wrócą z powrotem do cyklu. Proponuję spędzić ten czas na kontemplacji bólu i cierpienia... Myślę również, mimo iż jest pan profesjonalistą w tej dziedzinie, że wiele jeszcze może się pan nauczyć. Gdy ciało astralne w końcu zniknie w ich trzewiach i pozostanie czysty duch, panie Solle, wtedy pokaże panu moje miasteczko w całej okazałości. Choć nie wydaje mi się, aby zdołał się pan tu z kimś zaprzyjaźnić... I na koniec wspomnę jeszcze, aby nigdzie się pan nie śpieszył... Czekają pana tysiąc lat narasiny, jeżeli pan wie, co mam na myśli i zna trochę sanskrytu. Mam nadzieję, że napijemy się jeszcze kiedyś razem Pinot Noir i może namaluje mi pan kolejny, jeszcze piękniejszy obraz. Powiedziałbym panu z Bogiem czy życzył powodzenia, ale obaj wiemy, że te słowa są tu nie na miejscu – dokończył cynicznie Germain, po czym zręcznie omijając wijącego się z bólu Viktora, udał się z powrotem do ratusza, albowiem kolejny gość zawitał już do Kaselheim.



NATRĘCTWO

Jolanta Żuber

Kiedy przychodziła godzina osiemnasta, to wszystko znów się zaczynało. Właśnie wtedy zamknąłem Amelię w pokoju z książkami. Dokładnie o szóstej popołudniu, w brzydki poniedziałkowy wieczór.

Słyszałem głos szepczący moje imię. Czasem udawało mi się go zignorować. Czasem nie. Czasem też podnosiłem wzrok i mimowolnie kierowałem go w tamtą stronę, a dźwięk płynął przez starą, powiększoną dziurkę od klucza.

Za drzwiami małej biblioteczki jeszcze niedawno żyła wierna kopia mojej żony Lili. Sobowtór. Coś, co kształtowałem przez długi czas. I Bóg mi świadkiem, nie chciałem jej przetrzymywać, ale po kilku tygodniach przestała słuchać, a czynności przez nią wykonywane coraz mniej przypominały te znane z małżeństwa. A ja potrzebowałem idealnego odwzorowania: jeden do jednego.

Amelia przestała stosować się do zasad, choć sporo płaciłem. Sam wygląd, bliźniaczy do wyglądu mojej żony, nie wystarczał. Wciąż prosiłem, żeby dotykała mnie w określony sposób, robiła na śniadanie tosty z dżemem i masłem orzechowym, smarowała kromki odpowiednio grubo. Zapominała. Ciągle nie mogła też zapamiętać, jak ustawiać kubki w kuchennej szafce. Zawsze uszkłem w lewą stronę. Od białych po ciemne. Któregoś razu odmówiła wspólnego wyjścia na film, a przecież z Lili wychodziliśmy co weekend! To już było za wiele. Idealna układanka skruszyła się jak stare drożdżowe ciasto, a ja zacząłem dostrzegać coraz więcej różnic między kobietami. Wtedy jeszcze mogłem zawrócić. Zrezygnować z Amelii i wyobrażenia, że jest moją dawną Lili. Było jednak za późno, a ja byłem zbyt zdesperowany.

Głos był irytujący, natarczywy, starałem się więc myśleć o czymś innym. Patrzyłem przez okno na odjeżdżające autobusy. Ten z numerem 159 znów przyjechał spóźniony. Kierowca uderzał rękami w szybę i wykonywał nerwowe gesty w stronę aut.

– *Edd, chodź do mnie. Chodź...* – Mimo wszystko nadal to słyszałem.

– Nie – rzucałem i wczepiałem wzrok w przystanek. Wyobrażałem sobie, że żona zaraz do mnie wróci, otworzę tamten pokój, a głosy znikną. W środku nie będzie ciała, a ja nie będę mordercą. Usiądziemy i wypijemy herbatę przy dębowym biurku, a Lili znów będzie narzekać, że miała ciężki dzień i na nic nie ma już siły. Wróci równowaga. Codziennosc. Książki będą stały prosto na regałach.

– *Chodź* – usłyszałem ponownie i na moment przestałem być pewny, że za drzwiami jest tylko pustka. Nicość. Trup. Odliczałem pośpiesznie do dziesięciu, by się uspokoić. I zazwyczaj to wystarczało.

W końcu jednak musiałem tam pójść. To mnie właśnie zgubiło. Ale zacznijmy od początku.

Ostatnie lato było prologiem bólu.

Kiedy doczekaliśmy jesieni, Lili, moja ukochana żona, odeszła po pięciu latach małżeństwa. Nie, nie umarła. Po prostu znalazła kogoś młodszego. Nie mogłem jej zatrzymać siłą, bo zbyt mocno się uparła. Zaryglowała wszystkie drzwi, odcięła nawet najlepsze wspomnienia. Wymyśliłem więc coś innego i tłumaczyłem sobie, że w ten sposób oboje będziemy szczęśliwi. Plan zacząłem realizować po tygodniu. Przejrzałem oferty

matrymonialne. Zarówno te w prasie, jak i w internecie. Wszystkie były podobne: kobiety szukały przygodnego seksu, oferowały usługi na noc, dwie. To nie było to.

Napisałem więc własne ogłoszenie, skrupulatnie przejrzałem, czy wszystko jest w nim poprawnie skonstruowane. Nie mogłem sobie pozwolić na żaden błąd. Znalezienie kobiety, która będzie podobna do Lili, zajęło mi dwa miesiące. Nie od razu przystała na moje warunki, choć proponowałem dosyć sporo. W końcu jednak spotkaliśmy się w jednej z obskurnych, zadymionych restauracji. Tylko te sprzyjają większej uległości.

Amelia miała kręcone rude włosy, wąskie ramiona i nienaturalnie szczupłe nogi. Dokładnie jak Lili. Kobieta była starsza niż ja, ale w niczym to nie przeszkadzało, bo kiedy spojrzałem w ciemne tęczówki, serce przyspieszyło jak w tandetnym romansie. Z łatwością mogłem odliczać każde uderzenie. Usiedliśmy i lustrowaliśmy się nawzajem przez moment.

– Amelio... Chcę ci podziękować – zacząłem.

Przewróciła oczami, jakby w odpowiedzi, że nie robi tego dla mnie, a jedynie dla pieniędzy. Chwilę później powtórzyłem wszystkie swoje oczekiwania:

– Będę mówić do ciebie Lili. Dla mnie będziesz Lilianną, dobrze?

– Możesz mówić, jak chcesz. Byłam już Angeliką, Iwoną... Kiedyś nawet Jackiem.–
Roześmiała się histerycznie.

– Lili. Jesteś moją żoną – przerwałem i zdałem sobie sprawę, że brzmi to dosyć upiornie. Ona też musiała wyczuć dziwną nutę w głosie, bo przekrzywiła głowę.

Wieczór upłynął na dyskusji o tym, jak będzie wyglądało jej dalsze życie. Powoli tłumaczyłem zasady obowiązujące w domu. Spisałem nawet porządek dnia i większość zwrotów, które stosowaliśmy w rozmowie, choć tak naprawdę nie mogłem się już doczekać czegoś innego. Chwili, w której wylądujemy w łóżku.

Noc, czarny śnieg.

Amelia szła tuż obok mnie, patrząc w ciemne zaułki, jakby w poszukiwaniu przypadkowego klienta. Doskonale wiedziałem, czym się zajmuje, inaczej nie przystałaby na cały układ. Chęć posiadania pieniędzy była tak silna, że postanowiła przybrać nową tożsamość, nowy, wykreowany przeze mnie charakter i nowy image. Czulem coraz większą ekscytację. Złapałem ją niezgrabnie za rękę i znów poczułem, że upragniona sfera bezpieczeństwa wraca do mnie, tak jakby zawsze było stabilnie.

Uśmiechnęła się blado, pokazując rząd równych, białych zębów, a później oblizła wargę.

– Nie powinnaś tak robić – szepnąłem. – To zbyt dziwkarskie jak na ciebie.

– Ale przecież ja...

– Jesteś moją żoną. A teraz wracamy do domu, by być w nim razem.

– Tak, Edd.– Tym razem posłała dziewczęce, płochliwe spojrzenie, a ja odetchnąłem.

Teraz wszystko będzie jak dawniej, pomyślałem.

Śnieg chrupał pod butami. Trzask. Trzask.

Tamtej nocy nie myślałem o tym, że zdradzam żonę.

– Kocham cię, Lili – powtarzałem co chwilę, a gdzieś z tyłu głowy kołatała się myśl, że to słowa szaleńca. Była jednak na tyle słaba, że nie zagłuszyła tęsknoty. Robiliśmy to w zupełnej ciszy. Szybko, ale bezgłośnie.

– Ja ciebie też, Edd – szepnęła, kiedy przesuwałem ręką wzdłuż jej łydki, a ja uwierzyłem.

Śniegu było coraz więcej. Kolejne dni upłynęły pod znakiem nauki. Trwałem w przekonaniu, że wszystko wraca na dobry tor. W końcu jednak zdarzyła się pomyłka.

Dostałem tosty z serem. Pieprzone, tłuste kawałki chleba, podpieczone tylko z jednej strony. Amelia siedziała na krześle, które zazwyczaj zajmowałem.

– Nie było dzemu – rzuciła i przydreptała, żeby objąć mnie za szyję.

– Mogłaś kupić.

– Zapomniałam.

Wzruszenie ramion wprawiło mnie w konsternację. Z układanki wyleciał mały puzzel. Powtórzyłem, że nie możemy sobie pozwolić na kolejny błąd. Tosty wylądowały w koszu na śmieci, a ja wypilem tylko kawę. Reszta dnia wyglądała idealnie. Ubrana w ciasne jeansy żony, Amelia krzątała się po domu, sprzątała i czytała. A właściwie przeglądała zbiory małej biblioteczki, usytuowanej obok salonu. Ulubione miejsce Lili. To właśnie tam spędzała całe dnie.

Sytuacja jednak powtórzyła się kolejnego poranka.

– Nigdy nie będę taka jak ona – szepnęła na granicy słyszalności. – Ta maska zupełnie mi nie pasuje. Myślałam, że pogramy przez tydzień, dwa, w małżeństwo. Że to taki twój fetysz, wiesz, albo chęć ukojenia, i to będzie wszystko. Rozumiesz?

Nie rozumiałem. Traciłem grunt, który i tak był już grząski.

– Zapłacę ci więcej.

– Twój świat kręci się wokół dziwnego porządku.

Śnieg skrzypiał w oknach, a ja, poza pieniędzmi, nie miałem jej nic do zaoferowania. Nie mogłem zrezygnować z przyzwyczajień. To już nie byłoby to. Chciałem Lili. Sobowtóra. Kopię. Pieprzonego robota do naśladowania zachowań.

– Spróbujemy jeszcze raz, rozumiesz? – W moim głosie było coś dziwnie cierpkiego.

Edd, to jest już jakieś pokręcone. Czuję się jak małopka na kiju. Czekam tylko, w którą stronę mnie obrócisz.

– ...usisz si-ęzgodzić – Wpadłem w panikę.

– Polecę ci kogoś. – Przekrzywiła głowę jak za pierwszym razem. – Wracam do siebie.

Oboje spojrzeliśmy w stronę wyjścia. Nie wytrzymałem. Siła wepchnąłem ją do pokoju z książkami i zarygnowałem drzwi. Mechanicznie. Szybko.

– Jesteś moją żoną. Wróciliśmy tu, żeby być razem.

Stłumiłem szloch i zakopałem się w zimnej pościeli.

Co robisz, Edd? Co ty najlepszego robisz?

Zegar wybił osiemnastą.

Zajrzałem tam tylko raz. Wciąż obiecywała, że ze mną zostanie, ale chciałem mieć pewność. Wypuściłbym ją po tygodniu. Tak, tyle by wystarczyło, żeby zmiękła. Wiedziałem, że wygląda przez dziurkę od klucza i próbuje ją rozdrapać. Słyszałem jęki, które wydobywały się nocą przy akompaniamencie zimowego wiatru, czułem jej rozpacz i bezsilność. Głód. A mimo to nadal nic.

Nie byłem katem. Nie uderzyłem jej. Chciałem po prostu, żeby wróciła jako Lili. Wystarczyłby tydzień.

Amelia nie zmiękała. Nie przekonywała mnie już rozpaczliwie, że zostaniemy razem i nadal będzie nad sobą pracować. Po trzech dniach przestała krzyczeć. Przyłożyłem oko do dziurki od klucza, ale nigdzie jej nie widziałem. Pokój był jednak na tyle duży, że mogła schować się tam, gdzie nie dosięgał mój wzrok. Wciąż cieszyłem się, że jest obok.

Kolejne dwa dni upłynęły w takiej samej ciszy. Było mi przykro, że znów spędzam noce zupełnie sam. Ostrożnie uchyliłem drzwi. Była tam. Siedziała za biurkiem, blada i dziwnie stara. Wokół unosił się smród ekskrementów.

– Kocham cię, Edd – wychrypiała, a chwilę później wybuchnęła śmiechem. To było jak punkt zapalny. Przyszedłem, żeby ją wypuścić. Obiecywałem sobie, że przymknę oko na niektóre mankamenty i wszystko będzie dobrze.

– Lili...

– Nie ma Lili, rozumiesz?

Doskoczyła do mnie. Okładała pięściami i próbowała podrapać. I wtedy to się stało. Chwyciłem ją za szyję i trzymałem tak długo, aż upadła na podłogę. Trwało to kilka minut, migawkę.

– Nie ma Lili, nie ma Lili... – dźwięczało mi w uszach.

Uciekłem i znów stłumiłem szloch w zimnej pościeli. Obiecałem sobie, że rano napiszę nowe ogłoszenie. Mniej wymagające.

Tworzyłem kolejne anonse, ale głos był zbyt natarczywy. Miałem wrażenie, że coś nawołuje z wnętrza biblioteki. Czasem udawało mi się to zignorować. Czasem nie. W końcu jednak zerknąłem w kierunku powiększonej dziurki od klucza i przystawiłem oko.

Po śniegu nie było już śladu. W oknach za to trzeszczał wiatr: zimny, stalowy podmuch, który wprawiał w jeszcze większy niepokój. Deszcz uderzał miarowo w szyby. W rytm metronomu.

Uchyliłem drzwi. Nie było jej tam. Smród odchodów był jeszcze bardziej intensywny, ale Amelia zniknęła. Przesunąłem wzrokiem po regałach z książkami, zajrzałem badawczo pod biurko i z każdą chwilą czułem coraz większy niepokój. I nagle trzask. Drzwi zamknęły się jak w tandetnym horrorze klasy Bi dały do zrozumienia, że wyjścia nie ma. Deszcz przybierał na sile, a wiatr, który go potęgował, sprawił, że szyba zaczęła pękać. Kawałek po

kawałku. Roztrzaskane szkło lśniło, a krople wpadały do środka, jedna po drugiej. Wiało. Przerażliwie i mocno, ludzie przechodzący w ciemności potykali się o własne nogi.

–Edd, chodź do mnie...– To dobiegało z wnętrza pokoju. Byłem pewny.

Chwilę później wyszła zza regału. Była tam. Były. Ona i moja Lili. Bliźniaczo podobne. Oryginał i jego sobowtór.

– Kocham cię, kocham cię, kocham – szeptały raz po raz. A ja zacząłem dławić się własnym lękiem.

Obraz przed oczami zszarzał. Deszcz zmienił się w ulewę.

KIDS of EVIL

MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



[FACEBOOK.COM/KIDSOFEVIL](https://www.facebook.com/kidsofevil) [INSTAGRAM.COM/KIDSOFEVIL](https://www.instagram.com/kidsofevil) [YOUTUBE.COM/KIDSOFEVIL](https://www.youtube.com/kidsofevil)

[WWW.KIDSOFEVIL.COM](http://www.kidsofevil.com)

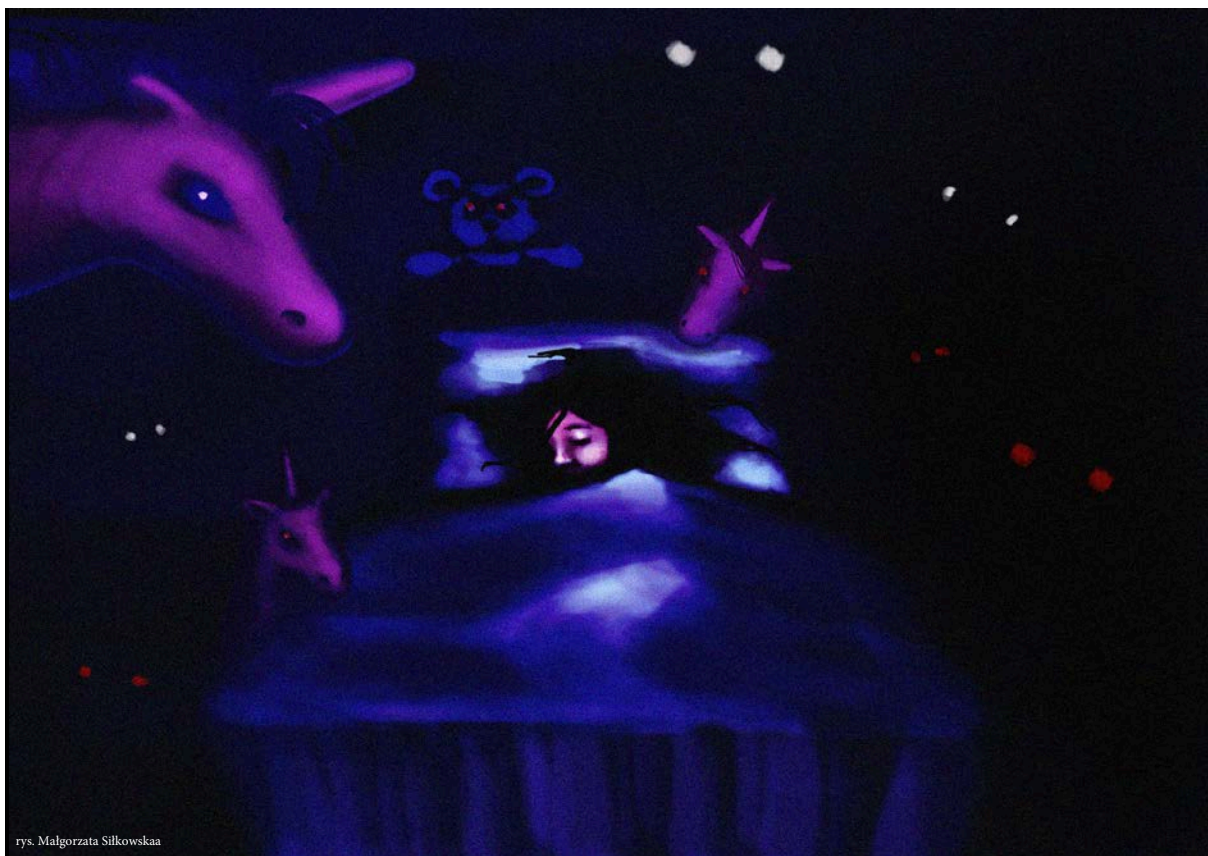
Z KOMIKSAMI ZVYRKE LATO TRWA WIECZNIE

ZVYRKE.SELINO.PL FB.COM/ZVYRCOMICS

INSTAGRAM.COM/ZVYRKE



(LUB WYSZUKAJ „ZVYRKE” NA GILDIA.PL)



rys. Malgorzata Silkowska

ŚPIJ SŁODKO, CUKIERECZKU

Sylwia Błach

Honza Vojtisek

Każdy dom ma swoją melodię. Chrząst węgla w piecu, zgrzyt ocierających się o siebie trybików. Szum wiatru w wentylacji, chrobot myszy przebiegającej między nogami. Kapanie wody w rurze, brzęk komara z pobliskiego stawu. Każdy dom śpiewa na swój własny, charakterystyczny sposób. Wystarczy zamknąć oczy, by utonąć w dźwiękach.

Odgłos, który rozległ się piętro niżej, państwo Mieszcejewscy słyszeli po raz

pierwszy w życiu. Coś jak warczenie psa – odległe, na granicy słyszalności, a jednak na tyle obce wśród naturalnych dźwięków nocy, by wywołać niepokój.

Katarzyna usiadła na skraju łóżka. Dłonią odszukała włącznik nocnej lampki. Pomarańczowa luna zalała twarze małżonków, gdy światło przebiło się przez plastikowy abażur. Marian dotknął pleców żony, pieszczotliwie je pogładził, odszukał linię kręgosłupa, przeciągnął palcem tak, jak zawsze lubił. Tym razem się wzdrygnęła. Zadrżała, zaniepokojona.

Jeszcze chwilę tkwili w bezruchu, pełni nadziei, że dźwięk się nie powtórzy, że była to tylko mara senna, tak bardzo niewarta ich uwagi. Ale warczenie znów rozbrzmiało. Głośniejsze, bliższe, wibrujące. Towarzyszył mu dziwny dźwięk przypominający chichot.

– Idź do małej – polecił Marian, podnosząc się. Zabrał dłoń z pleców żony, wyprostował się niczym struna. Błyskawicznie zaczął wciągać bokserki porzucone tuż obok kapci.

– Pójdę. – Głos Katarzynie drżał, choć spuszczone głowa zdradzała zniechęcenie. Kobieta była zmęczona. Nie ruszyła się nawet o milimetr.

Na parterze ich idealnego domu, o idealnej, równej bryle, z idealną, czerwoną dachówką, mieszczącego się w równie idealnej dzielnicy, coś spadło. Głuchy łoskot poniósł się po murach, zwielokrotniony przez wentylację biegnącą między sypialnią, a salonem.

– Oby to był komputer, przynajmniej zaczniesz poświęcać czas małej. – Sarkazm w głosie kobiety był namacalny. Powietrze zgęstniało.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzaj – powtórzyła kpiąco.

Marian rzucił gniewne spojrzenie w kierunku żony. Zastanawiał się co kiedyś w niej widział. W pomarszczonym profilu szukał śladów dawnej urody, w zgarbionej sylwetce – pleców, które uwielbiał pieścić, w oponce na brzuchu – zarysu talii. Kiedyś mógł żonę objąć dłońmi. Teraz, w złości, myślał, że nie starczyłoby mu do tego miary krawieckiej. Wstał. Wziął kilka głębokich wdechów. Musiał oczyścić umysł. Powoli skierował się do drzwi, położył dłoń na klamce. Spojrzał na partnerkę. Skuloną, bezbronną. Uśmiechnęła się blado.

– Wybacz.

– Jesteśmy zmęczeni, nic się nie stało. – Jednym prostym zdaniem zmyła całą jego złość. Gdy wyprostowała się i uśmiechnęła szerzej, by dodać im obojgu otuchy, nie pamiętał już, co go zdenerwowało. Znów widział te urocze dołeczki w policzkach i krągłe piersi o dużych, sterczących sutkach. A przede wszystkim: ten silny charakter, którym go uwiodła, gdy na boisku szkolnym sprzeciwiła się grupie uczniów znęcającej się nad niemodnie

ubranym pierwszakiem.

– Uważaj na siebie – poprosiła.

– Będę.

Drzwi cicho skrzyknęły, gdy mężczyzna je zamykał. Katarzyna przez ułamek sekundy patrzyła tępo, walcząc ze sobą. Nagle została sama w sypialni. Delikatne światło nocnej lampki rzucało złowieszcze cienie na ściany. Z lewej strony coś drgnęło, jakiś kształt, w cieniu z prawej dostrzegła głowę potwora. Znów zadrżała.

Dłonią sięgnęła pod łóżko. Kształty stawały się coraz bardziej złowieszcze, światło lampki jakby przygasало. Zamigotało, rozbłysło pomarańczem, znów zmętniało. Cicho zakłęła, bo nie mogła wyczuć znajomego kształtu. Wstrzymała oddech, gdy na dole znów coś brzęknęło. Dłoń nerwowo błędziła pod łóżkiem, coraz szybciej i coraz bardziej bezradnie. Atak paniki narastał, gdzieś w oddali słyszała śmiech, lampka paliła się coraz słabiej. Kobieta czuła, że zaczyna się dusić, brakowało jej tlenu, chciała podejść i otworzyć okno, ale nogi obrosły betonem.

I wtedy znalazła to, czego tak bardzo potrzebowała. Podłużny kształt kija baseballowego uspokoił ją. Przytuliła kawałek drewna tak, jak dziecko tuli misia. Poczowała siłę. Cienie stały się tylko cieniami. Nogi znów odzyskały sprawność. Oddech się wyrównał.

Wciągnęła kapcie, narzuciła szlafrok i szybkim krokiem ruszyła do pokoju pięcioletniej Zuzi.

Chrzęst w ciemności, a potem chichot. Marian z każdym krokiem w dół stromych schodów coraz bardziej żałował, że nie wziął broni. Kija, noża, czegokolwiek! Czułby się wtedy pewniej, miałby czym odepchnąć przeciwnika albo w niego rzucić. Dźwięki były coraz bliżej, dochodziły z salonu. Pomyślał o odległości, która dzieliła drzwi salonu od najbliższej szuflady z nożami w aneksie kuchennym, i stwierdził, że jeśli w mroku coś się czai – nie dobiegnie. Przez chwilę chciał zawrócić, wyposażyć się w cały arsenał przedmiotów, które tylko w przerażonym umyśle mogły nabrać cech obronnych, na przykład nożyczek do papieru czy zestawu długopisów. Układ domu, w którym na piętrze były tylko dwie sypialnie, a na parterze – łazienka, kuchnia i salon, nie dawał mu wielu możliwości. Musiał zdać się na swój refleks. I wiarę.

Zaczął się po cichu modlić. Uczono go, że modlitwa odgania złe demony. Gdy był dzieckiem, powtarzał co wieczór „Ojcze nasz”, a co rano zawzięcie recytował „Zdrowaś

Maryjo”. Gdy dorósł, zrezygnował z – jak to pogardliwie nazywał – wierszyków dla naiwnych. Teraz nawet nie zauważył, gdy słowa w głowie ułożyły się w rymowaną z dziecięcych lat.

Aniele Boży, strózu mój, Ty zawsze przy mnie stój...

Schody dłużyły się w nieskończoność. Wydało mu się, że na dole coś migocze w ciemności. Zamrugał kilkakrotnie, wrażenie nie chciało minąć. Delikatny czerwony blask na samym końcu schodów. I ruch.

Chwycił się mocniej poręczy, wyteżył wzrok. Noc była bezgwiezdna, w ciemności nie mógł dojrzeć nic poza coraz delikatniejszym czerwonym światełkiem. Przetarł oczy, światełko zniknęło. Mimo to był pewien, że na samym dole coś jest. I że to coś patrzy na niego.

Podjął decyzję.

Odwrócił się i rzucił w górę schodów, do najbliższego włącznika światła. Wcześniej nie chciał zdradzić swojej obecności, teraz zrozumiał, że jest w pułapce. Po ciemku nie da rady walczyć. Krzyknął niczym karateka przyjmujący cios prosto w brzuch. Napięte mięśnie, blokowanie ataku.

Nie brzuch był celem.

Coś ostrego wbitego w stopę pokrzyżowało mu plany. Zaklął głośno i zaczął kopać, jednak uścisk się nasilał. Mężczyzna usłyszał warczenie stwora szamoczącego się z jego nogą. Czuł, jak zęby obcej istoty boleśnie rozrywają mu skórę, drą ją niczym papier, ale nie sięgają głębiej. Prowokują, torturują, nie chcą jednak zabić. Jeszcze.

Szarpnął się, spróbował podciągnąć na poręczy, ale stwór nie puszczał. Kolejna krwawa wstęga rozwinęła się na stopie Mariana. Ból był okropny. Mężczyzna musiał zmienić taktykę. Niewiele myśląc, odwrócił się przodem do napastnika i zaczął biec w dół schodów. Mocny wymach nogą sprawił, że to coś go puściło i odbiegło w ciemność. Jednocześnie zachwiało Marianem. Mężczyzna stracił równowagę, świat osuwał mu się spod stóp. Zamachał dłońmi, krzyknął, w ostatniej chwili złapał się poręczy, jednak boleśnie wykręcił staw barkowy.

W łazience na parterze rozległ się szelest. Marian zrozumiał, że to jego ostatnia szansa. Miał nadzieję, że przeciwnik jest tylko jeden. Z całą ferajną na pewno sobie nie poradzi.

Zignorował ból w nodze i rzucił się w kierunku kuchni. Dopadł szuflady z nożami. Wiatr przegnał chmury na niebie, promienie gwiazd rozjaśniły ciemność. Mimo to Marian przeciął sobie palec, gdy z przerażeniem szukał najdłuższego z noży. Nie było go.

Chichot tuż za plecami ostudził jego zapaly. Odwrócił się, łapiąc pierwsze z brzegu narzędzie. Mógł wybrać gorzej: piętnastocentymetrowy nóż do krojenia mięsa nie był co prawda jego ulubionym Nożem Szefa, ale dawał mu szansę na wygraną.

Stwór przyglądał mu się z ciekawością. Był maleńki i komiczny. Wielkie uszy i biały irokez nie pasowały do gadziej skóry i czerwonych ślepiów.

– Serio? – spytał Marian z niedowierzaniem. A potem bez namysłu rzucił się na gremlina i posiekał go na kawałki.

– Śpi? – Marian zamknął za sobą drzwi od pokoju. Zewsząd zaatakował go widok jednorożców. Pomyślał, że jeśli kiedyś przyjdzie mu się zmierzyć z rogatym koniem, będzie o wiele gorzej. Szybko też wykalkulował, że wyplenienie miłości córeczki do koników wcale nie pójdzie tak łatwo, a wymiana wszystkich pluszaków na jakieś mniej niebezpieczne to grubsza szkoła jazdy. Bo co mógłby jej kupić? Misie o ogromnych zębach, ukrytych w słodkich mordkach? Pluszowe węże, krokodyle?

– Śpi, śpi – uspokoiła go Katarzyna. Podeszedł do niej, usiadł obok na skraju łóżka. Objęli się. Kobieta wtuliła twarz w jego szyję. – Jesteś cały we krwi.

– Zaraz się umyję. Musisz posprzątać w kuchni.

Wstali w zgodzie. Przez chwilę przyglądali się niewinnej buźce ich pięcioletniej córeczki: brązowym loczkom i rozchylonym maleńkim usteczkom. Patrzyli na jednorożca, którego przytulała, na różowe łóżeczko, w którym spała, i po prostu nie dowierzali.

Droga do kuchni upłynęła im w ciszy. Dopiero przy przyjściu do aneksu, na widok rozczłonkowanych zwłok stwora, skąpanych w blasku księżycy, kobieta wydała cichy okrzyk.

– Robisz się coraz brutalniejszy! – skarciła męża, zgarniając do kubła kawałki gadzich łap.

– Ja? Zobacz, co ten skurwysyn zrobił mi z nogą! – Na dowód wystawił kostkę przed siebie. Była cała zakrwawiona, w kilku miejscach skóra odstawała od mięsa.

Katarzyna złapała płyn dezynfekujący. Psiknęła na nogę męża, ten cicho syknął, gdy zapiekło. Potem odnalazła bandaż w okolicznej szafce i owinęła kostkę.

– Rano zabiorę cię do szpitala...

– Daj spokój. Przeżyję.

Po jej twarzy pociekły łzy. Usiadła na podłodze, skuliła się niczym dziecko.

– Kochanie, damy radę... – Marian zsunął się z krzesła, objął żonę.

– Jak? Jak, wyjaśnij! – wrzasnęła. Poderwała się z ziemi. Twarz jej wykrzywiła wściekłość, naga pierś wysunęła się spod szlafroka. – Jak?!

– Po pierwsze powiem temu pojebanemu sąsiadowi, że ma więcej nie puszczać naszej córeczce horrorów, ponieważ śnią się jej koszmary. – Marian starał się zachować równowagę, jednak głos mu drżał. Był wściekły na żonę, był wściekły na życie. Miał dość conocnych koszmarów córki, które z niewiadomych przyczyn stawały się realne. Miał dość wyrzutów żony, która powtarzała, że zbyt często izoluje się od swojego dziecka. Jak miał się, do kurwy nędzy, nie izolować? To dziecko było pierdolonym Wesem Cravenem!

– I co dalej, i co dalej?!

– Kurwa, nie wiem!

– A co, jak zaczną się jej śnić większe stwory? A co, jeśli wyśni pożar domu? A co, jak dorosnie i przyśni się jej zbiorowy gwałt?! – Kobieta popadała w histerię. Zaczęła miotać się po kuchni, wykrzykując kolejne scenariusze. – A co jeśli przyśni się jej, że ktoś *nas* morduje?!

– Nie wiem!

– A kto zapłaci za telewizor? Widziałeś jak wygląda salon? Jak po wybuchu bomby atomowej!

Słoik z dżemem, pozostawiony na stole po kolacji, przeleciał przez całą kuchnię. Szkło rozprysło się tuż obok twarzy kobiety. Mężczyzna spojrzał na swoją dłoń, jakby nie dowierzając, że to on właśnie rzucił. Zadrżał.

Katarzyna stała jak osłupiała. Skuliła ramiona. Płacz wstrząsał jej ciałem.

– Przepraszam, kochanie, przepraszam – zaczął, podchodząc do żony. Chciał ją przytulić, zmasać strach, którego przez niego doświadczyła.

– Odejdź! – krzyknęła, odsuwając się. Uderzyła go w twarz. Chwycił ją za nadgarstki. Pomyślał, że gdyby zabił ich wszystkich, koszmar by się skończył. A potem utonął w błękitnych oczach, które tak bardzo przecież kochał, i zrobiło mu się wstyd. Wstyd, że traci nerwy, że nie potrafi uratować kobiet, którym przysięgał oddać życie. Tym razem nie odepchnęła go, gdy spróbował ją przytulić.

– Ćśś... Coś wymyślimy... Już spokojnie...

– Nie, nie spokojnie... Nie... Koszmary, potwory, demony... – Kobieta łkała. Uniosła twarz. Ledwo dosięgała do brody męża. Zwykle lubiła tonąć w jego ramionach, czuć się taka malutka i bezbronna. Dziś wiele by oddała, by być tą większą, silniejszą, mieć odwagę i determinację. – Powiedz, jak ona znajdzie męża?

Marian spojrzał w twarz Katarzyny. Wyrażała rozpacz. Wiedziała, że sednem życia

ukochanej zawsze była miłość. I w tej miłości chcieli córkę chować.

– Nie wiem... Nie wiem... Może... Oddamy ją do zakonu? Niektórzy mówią, że to Bóg jest największą miłością.

Cisza zapadła nad domem państwa Mieszcejewskich. Woda w rurach kapiała, za oknem szumiał wiatr. Zegar wybił trzecią, córka zaczęła chrapać. Znow wchodziła w fazę REM. Noc dla Mieszcejewskich dopiero się zaczynała.



rys. Małgorzata Silkowska

T AJEMNICZY NIEZNAJOMY

Adrian Iwaniak

Dźwięk gwizdzącego czajnika rozchodził się po całym mieszkaniu. Maria zmierzała wolnym, ciężkim krokiem w stronę skromnie urządzonej kuchni. Obolałe plecy i zmęczone nogi dokuczały jej od samego poranka. Rozmyślając o swoim życiu, leniwym ruchem dłoni zalewała wrzątkiem herbatę.

Leki zażyte po śniadaniu rozpuściły się w żołądku i wywołały nieznośną zgałę.

Przyszedeł czas na jej codzienny rytuał.

„Herbatka, ciasto i dobra książka. Tego mi właśnie potrzeba” – rozmarzyła się staruszka.

Gdy szła w stronę olbrzymiego salonu, delikatnie odwróciła głowę, aby spojrzeć za okno, na spadające liście.

Na zewnątrz było ciepło. Promyki słońca delikatnie padały na błonczatki oraz dalie, rosnące w ogródku. Maria nie miała innych towarzyszy – w promieniu trzech kilometrów nie było ani jednej żywej duszy. Żyła niczym pustelnik... Z dala od ludzi i cywilizacji. Jedynie młodzianka Franciszka odwiedzała ją dwa razy w tygodniu, aby przynieść zakupy i pomóc w codziennych obowiązkach. Była dla staruszki szczególnym wsparciem. Rodzina odwiedzała Marię tylko raz w roku, na święta Bożego Narodzenia, a i to nie zawsze.

Powojenny zegar z kukułką wskazywał godzinę jedenastą.

Maria usiadła właśnie w wygodnym fotelu. Chciała umilić sobie wolną chwilę powieścią Kornela Filipowicza, jej ulubionego pisarza. W momencie, gdy drobne dłonie sięgały po książkę, leżącą na kredensie, do uszu kobiety dobiegł znajomy dźwięk telefonu. Bez dłuższego namysłu wstała i powolnym krokiem ruszyła do przedpokoju.

Telefon wciąż dzwonił.

– Halo, kto tam? – powiedziała, gdy podniosła słuchawkę.

Cisza.

– Halo! Jest tam ktoś? – dopytywała.

Po chwili, wśród szumów i trzasków, dało się usłyszeć niewyraźny męski głos.

– Okalecz się... – wyszeptał nieznajomy.

Maria zadrżała.

– Słucham? Kto mówi?

– Weź nóż i oszpeć swoją twarz...

Maria nie mogła uwierzyć własnym uszom. Ze strachu nie była w stanie skleić żadnego spójnego zdania.

– Masz rozciąć swoje wargi i wyłupać oczy! – krzyknął tajemniczy rozmówca. – Zrób to! W przeciwnym wypadku zasmakuję krwi twoich najbliższych!

Maria instynktownie pomyślała o Franciszce.

– Co? Jak to? Kim jesteś?! – zapytała drżącym głosem.

Nieznajomy wybuchnął donośnym śmiechem.

– Znasz mnie doskonale... – powiedział. – Chowam się w cieniu twojego nędznego żywota. Leżę tuż obok, gdy śpisz w wygodnym łóżku. Spoglądam na ciebie, gdy ze złożonymi rękami modlisz się do swojego żalostnego stwórcy.

Groza zalała Marię niczym fale oceaniczne plażę. W ułamku chwili poczuła, jak strach ogarnia całe jej ciało.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytała, chwytając się za serce.

– Nie słyszałaś, głupia suko? Chcę twojego poświęcenia!

Lęk i obrzydzenie sprawiły, że Maria szybkim ruchem odłożyła słuchawkę. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Czuła dreszcze i podmuch gorąca uderzający do głowy.

– Panie najdroższy – wyszeptała. – Miej mnie w swojej opiece.

Franciszka była młodą, niebieskooką blondynką, mieszkającą trzydzieści minut drogi od domu Marii. Jej bujne, kręcone włosy sprawiły, że stała się obiektem westchnień wszystkich mężczyzn w okolicy. Pomimo młodego wieku doskonale dogadywała się z Marią, starszą o sześćdziesiąt lat, którą traktowała jak własną babcie.

– Dzień dobry! – krzyknęła Franciszka na powitanie.

– Witaj! Jak miło cię widzieć! – odpowiedziała Maria.

– Przyniosłam zakupy dla pani. Wszystko, co było na liście: chleb, jajka, mleko, cukier i wiele innych produktów, o które pani prosiła.

– Jesteś kochanym dzieckiem – powiedziała z radością staruszka i wręczyła dziewczynie stułotowy banknot. – Reszty nie trzeba.

– Jak się pani dziś czuje? Nie wygląda pani najlepiej...

– Wszystko w porządku, moje dziecko. Spotkała mnie tylko dziwna sytuacja przed południem. Jakies dzieciaki stroiły sobie ze mnie żarty przez telefon. – Na twarzy Marii pojawił się grymas wymuszonego uśmiechu. – Rozwydrzone bachory... Opowiadaj lepiej, kruszynko, co u ciebie.

Południe, spędzone razem, minęło im na sprzątanii i wspólnym gotowaniu. Franciszka, pomimo młodego wieku, była doskonałą kucharką. Jej kulinarne zdolności napawały radością sędziwą Marię.

Chwile spędzane z młodą dziewczyną przypominały kobiecie o jej własnych wnukach: Karolinie i Tomaszu. Kochała je całym sercem, bez względu na prawie siedmiuset kilometrową odległość. Oddałaby wszystko, aby móc częściej je widywać.

„Ciekawe, co słyhać u moich małych brzdąców” – pomyślała.

Chociaż były dorosłe, wciąż traktowała je jak małe dzieci.

Z chwilą, gdy Maria odpływała myślami, z pokoju obok zadzwonił telefon.

– To pewnie znowu te okropne bachory! – krzyknęła. – Już ja im pokażę, co znaczy zadzierać ze starszą panią!

Szybkim krokiem ruszyła w kierunku przedpokoju. Franciszka mimowolnie oderwała wzrok od gotującej się zupy. Widok żwawo truchtającej Marii rozbawił młodą dziewczynę na tyle, że z założonymi rękami bacznie obserwowała staruszkę, podnoszącą właśnie słuchawkę.

– Gówniarze, znowu wam się zachciewa żartów! – krzyknęła Maria, głosem pełnym irytacji.

– Halo, babcia? To ja, Tomasz... Masz chwilę? – zapytał mężczyzna, nie kryjąc smutku.

– Tomasz? Ja... Przepraszam... Myślałam, że to ktoś inny. Coś się stało?

Rozmówca milczał.

– Halo, jesteś tam?

– Tak, tak... Jestem. Słuchaj, nie mam zbyt dobrych wiadomości. Dziś rano dostałem telefon od Andrzeja, męża Karoliny. – Mężczyzna delikatnie pociągnął nosem. – Podczas porodu Karoliny zdarzyły się pewne komplikacje.

– Komplikacje? – zdziwiła się Maria. – Co masz na myśli?

– Babciu, powiem wprost.– Tomasz wziął głęboki wdech. –Dziecko zmarło.

Wiadomość trafiła w kobietę niczym piorun w samotne drzewo.

– Ale jak to? – zapytała drżącym głosem.

–Na razie nic więcej nie wiem. Zadzwoń, gdy tylko poznam szczegóły. Trzymaj się, babciu.

Maria nie odpowiedziała. Powolnym ruchem odłożyła słuchawkę. Starła się coś powiedzieć, lecz szok, w jakim się znalazła, odebrał jej mowę.

– Pani Mario, wszystko w porządku? – zapytała niespokojnie Franciszka.

Staruszka milczała. Jej tętno niebezpiecznie się zwiększyło. Czowała, że kręci się jej w głowie.

Usiadłszy na podłodze, zakryła posmutniałą twarz dłońmi. Powoli, cichutko, zaczęła płakać.

Minęły dwa tygodnie, zanim Maria zdążyła się pozbierać po traumatycznym telefonie od Tomasza. Jej stan zdrowia nie pozwalał na uczestnictwo w pogrzebie dziecka. Pozostała jej tylko modlitwa, której oddawała się każdego ranka.

Śmierć prawnuka odcisnęła piętno na psychice Marii. Przez dwa tygodnie, przepełnione smutkiem i cierpieniem, zdążyła już zapomnieć o tajemniczym telefonie od nieznanego. Nie wiedziała jednak, że to dopiero początek jej koszmaru.

Staruszka odgadła właśnie ostatnie hasło w krzyżówce. Delikatnym ruchem pióra wpisała słowo „skowronek”.

– Czuję się taka samotna – powiedziała na głos.

Oprócz sporadycznych telefonów od dzieci i wnuków Maria nie miała za bardzo kontaktu z rodziną. Jej mąż Zygfryd zmarł piętnaście lat temu w tragicznym wypadku samochodowym. Czołowe zderzenie z tirem, śmierć na miejscu.

Historia Marii była pełna smutku i cierpienia. Jednakże tą samą miłością, którą darzyła własną rodzinę, kochała również Franciszkę. Nie wyobrażała sobie życia bez jej częstych odwiedzin.

Za oknem padał deszcz. Maria wstała z wygodnego fotela, aby skorzystać z toalety. Jej blada, oklapła twarz odbiła się w lustrze wiszącym w przedpokoju.

Czas odcisnął na niej swoje piętno: pozbawił piękna, które napawało ją dumą za młodu. Chory kręgosłup i niewydolność nerek – oto, co dostała na starość.

Maria pogłaskała się po łysiejącej głowie.

W chwili, gdy złapała za klamkę od łazienki, zadzwonił telefon. Momentalnie stanęła jak wryta. Czowała, że nadchodzi coś złego.

– Halo – powiedziała, gdy podniosła słuchawkę.

Ktoś po drugiej stronie wyraźnie sapał. Maria zadrżała.

– To znowu ja... – powiedział szyderczo nieznanomy.

– Nie mam ochoty na żarty!

– Ostatnim razem mnie nie posłuchałaś! – przerwał jej krzykiem głos w słuchawce.

Maria przełknęła głośno ślinę.

– Nie wiem, o czym mówisz – wyszeptała ze strachem.

– Ach, tak? Wiesz doskonale, o czym mówię. Zignorowałaś moje polecenie, więc musiałem cię ukarać. Jesteś winna śmierci dziecka, które nie zdążyło nawet zakosztować życia.

Maria poczuła strużkę moczu, spływającą po udzie.

– Czego ode mnie chcesz, szatanie? – zapytała.

– Chcę tego, co wcześniej. Poświęcenia.

Marięzakłuło serce.

– Chcę, abyś włożyła ręce do pieca. Do buchającego ognia – kontynuował nieznajomy. – Chcę, abyś cierpiała, tak jak ja cierpię w piekle. Masz poczuć, jak płomienie rozrywają ci ścięgna. Jak skóra i mięśnie spływają po kościach. Masz czuć ból!

Maria milczała.

– Ignorancja nie będzie tolerowana. Krew za krew! – wrzasnął demon. – Wybieraj: poświęcenie albo śmierć twoich najbliższych.

Dłonie Marii drżały z przerażenia.

– Dobrze. Zrobię to – wyszeptała po chwili milczenia. – Zrobię to...

Odłożyła słuchawkę. Stała w bezruchu przez kilka minut, serce waliło jej jak młot. Wyciągnęła przed siebie ręce i spojrzała z przerażeniem na spocone dłonie.

„Zrobię to” – pomyślała.

Żar buchającego ognia ogrzewał jej twarz. Maria czuła zapach palonego drewna. Jej wzrok był skupiony na iskrzących się płomieniach, które wystawały przez otwartą klapę pieca.

„Zrobię to” – powtarzała w myślach bezustannie.

Chciała, tak bardzo chciała, lecz jej ciało odmawiało posłuszeństwa. Kobieta czuła przerażenie na myśl o nadchodzącym cierpieniu.

Powolnym, drżącym ruchem zbliżyła dłonie do ognia. Bała się. Wiedziała, że ból, który za chwilę poczuje, będzie ogromny, nie do opisanego. Staruszka zamknęła oczy i zaczęła modlić się pod nosem.

– Zdrowaś Maryjo, łaski pełna... – szeptała po cichu.

Koniuszkiem palców czuła buchające płomienie. Wkładała dłonie centymetr po centymetrze, coraz głębiej i głębiej.

Palący ból narastał z każdą sekundą. Maria zadrżała i po chwili cofnęła ręce. Instynktownie otworzyła oczy.

– Nie dam rady! – wrzasnęła. – Panie Boże, przebac mi...

O śmierci swoich dzieci, Michała i Anny, Maria dowiedziała się z wiadomości. Wszystkie programy informacyjne huczały o tej tragedii. Rodzeństwo oraz pięcioro innych ludzi zginęli w pożarze kamienicy we Wrocławiu.

– Tak bardzo pani współczuję – powiedziała ze smutkiem Franciszka. – Najpierw nieudany poród Karoliny, teraz to... Mogę pani jakoś pomóc?

Maria milczała. Ślepym spojrzeniem wpatrywała się w kwiaty za oknem. Wiedziała, że to jej wina – śmierć niewinnych ludzi, zwłaszcza jej dzieci. Wiedziała, że z biegiem czasu telefon zadzwoni ponownie. Bała się tylko, co może nastąpić tym razem.

– I pomyśleć, że akurat w ten dzień Michał odwiedził Annę – wtrąciła Franciszka. – Cóż za zrzędzenie losu.

– To nie był przypadek – powiedziała Maria, ciągle wpatrując się w dalie.

– Sądzi pani, że to przeznaczenie? Że tak miało być?

– Sądzę, że to wszystko moja wina.

– Masz rację, głupia suko. Zabiłaś ich – powiedziała Franciszka demonicznym głosem.

Marię przeszły ciarki. Instynktownie odwróciła głowę w kierunku dziewczyny.

– Coś ty powiedziała? Powtórz to! – krzyknęła, przerażona, rzucając się na Franciszkę. W przypływie złości oplótła dłońmi szyję dziewczyny i zaczęła ją dusić. Mocno, z całych sił.

– Ależ pani Mario, co po wyprawia? – wykrztusiła z trudem Franciszka. – Powiedziałam tylko, że nie ma się pani czym przejmować.

– Kłamiesz, szatanie! To ty zabiłaś moje dzieci!

Franciszka czuła, że powoli traci przytomność. Była cała sina. Ostatkiem sił chwyciła wazon z kwiatami stojący obok niej i rąbnęła staruszkę prosto w skroń. Brzdęk rozbitego szkła rozniósł się echem po całym mieszkaniu.

Maria poluzowała ucisk dłoni. Cofnęła się o krok i pobladła. Krew spływała jej po twarzy.

– Przepraszam. Ja... chyba wariuję. Nie daję już rady – powiedziała, osuwając się na podłogę.

Franciszka odchrząknęła, by złapać oddech. Niewiele myśląc, chwyciła torebkę, wiszącą na krześle, i uciekła z mieszkania.

Maria leżała w kałuży krwi dobre dziesięć minut. Ból głowy był nie do wytrzymania. Powoli, wspomagając się krzesłem, dźwignęła się na nogi. Instynktownie wyciągnęła rękę ku głowie, aby sprawdzić, jak głęboka jest rana. Spojrzała po chwili na dłoń: była cała we krwi.

Chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku telefonu, aby wezwać pogotowie. Z chwilą, gdy dotknęła słuchawki, telefon zadzwonił. Maria wiedziała, kto dzwoni.

– Jak długo jeszcze będziesz mi się przeciwstawiać? – zapytał głos w słuchawce.

– Ty parszywy demonie! Pomioście szatana! Bądź przeklęty na wszystkie czasy! – krzyczała staruszka.

Głos w słuchawce się roześmiał.

– Nie ty pierwsza mnie tak nazywasz. Przed tobą było wielu. Nikomu nie udało się wypełnić ostatecznego polecenia.

– Czego chcesz tym razem? – zapytał Maria, płacząc.

– Masz szansę to wszystko skończyć. Właśnie teraz masz jedyną możliwość, aby odkupić swoje winy. Możesz zrekompensować swoją ignorancję.

Kobiecie było już wszystko jedno. Straciła bliskie jej osoby, straciła Franciszkę, straciła zdrowie psychiczne i wiarę w Boga. Była załamana.

– Co mam zrobić? – zapytała drżącym głosem.

– Zabij się.

Polecenie, które usłyszała, sparaliżowało ją. Była gotowa na wiele, ale nie na to.

Milczała, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

– Zabij się – powtórzył nieznajomy. – Gdy to zrobisz, żądza krwi zostanie nasycona: będziesz moją ostatnią ofiarą. Jednakże, jeżeli i tym razem zawiedziesz, krąg cierpienia przejdzie na inne osoby. Będę zabijał bez przerwy, wciąż i wciąż...

Maria opadła na kolana. Płakała. Nie chciała umierać, lecz wizja odpowiedzialności za śmierć innych, być może dziesiątek ludzi, przyprawiała ją o mdłości.

Odłożyła słuchawkę. Bała się, że nieznajomy może zadzwonić kiedyś do Franciszki.

Podjęła decyzję. Pogodziła się z własną śmiercią.

Powolnym krokiem ruszyła do drzwi mieszkania. Przekręciła kluczyk i odwróciła się w stronę kuchni. Z najniższej szuflady wyciągnęła żelazko. Lewą ręką chwyciła ogromny tasak, służący jej do krojenia mięsa. Łzy spływały jej po policzkach. Zgrzytała zębami z przerażenia.

Przelykając ślinę, zamachnęła się i ucięła kabel żelazka...

Dyżurny miejscowej policji odebrał zawiadomienie o dziwnym ataku starszej pani na młodą dziewczynę. Franciszka, po ucieczce z mieszkania, natychmiast zadzwoniła pod numer alarmowy.

Minęło sporo czasu, zanim patrol przyjechał pod dom napastniczki. Dwóch wysokich, dobrze zbudowanych mundurowych wysiadło z radiowozu i popędziło w stronę domu pani Marii. Młody, świeżo upieczony policjant chwycił klamkę, by otworzyć drzwi. Były zamknięte.

– Niech to szlag! – wrzasnął.

Drugi, starszy, podszedł do okna. Jego oczom ukazał się widok stojącej na taborecie kobiety z zaciśniętą pętlą na szyi. Maria, wpatrzona w powojenny zegar z kukułką, stała tak przez dłuższą chwilę. Zauważając w oknie funkcjonariusza policji, powoli zamknęła oczy.

– Przepraszam – wyszeptała.

Silnym ruchem nogi odrzuciła stojący pod nią taboret.

Na ten widok mężczyzna odepchnął nowicjusza, próbującego siłować się z klamką.

– Wyważamy!



WCIELENIE

Klaudia Klimko

Tłusta mucha zakręciła się w powietrzu i osiadła na rozchylonych ustach. Opijała się krwią już trzeci dzień. Skrzętnie zlizywała cuchnącą posokę. Obracała się powoli, szukając wykwintniejszych drobin. Nawet do tak nędznego stworzenia czasami uśmiechnie się szczęście.

Bazyl odrywał kawałki z bochenka i wkładał je do ust. Czerstwa skórka chleba powoli rozpływała się w odmętach śliny. Podrapał się po policzku, aż kilkudniowy zarost zachrzęcił. Wiatr delikatnie kołysał uchylonymi drzwiami, przez które z izby uciekało ciepłe powietrze. Mężczyzna nie czuł już smrodu rozkładających się ciał. Nos zaadaptował się do panujących warunków i nawiązał z nimi przyjazną relację.

– Dobrze zrobiłeś. – Dobiegł do niego głos gdzieś spod sufitu. Bazyl nadal mechanicznie przeżuwał chleb. – Twoja nagroda będzie sowita.

– Dziękuję, Panie.

– Zadowolileś swojego Pana. Za parę dni wezwę cię do siebie.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał w kąt. Trzy ciała siedziały oparte o ścianę. Podłoga pod ich korpusami nabrała wiśniowej barwy.

Głos w jego uszach zamilkł, a on nadal przeżuwał powszedni chleb.

Marcin założył ręce za głowę i głęboko westchnął, próbując wydusić z siebie pierwsze zdanie. Nie miał na nic ochoty, odkąd wyrzucili go z redakcji. Sześć lat życia, poświęcenia, zarwanych nocek – i kopniak w tyłek z wypowiedzeniem. Zarabiał dobrze, a przede wszystkim robił to, co tak naprawdę lubił. W redakcji miał znajomych i własne miejsce w świecie. Dziennikarstwo w pewnym sensie go pociągało. To, że czasem wiedział o czymś jako pierwszy, i to, że gdyby nie on, to żaden z mieszkańców by się o czymś nie dowiedział. To sprawiało, że miał misję i czuł, że jest w tym mieście potrzebny. Teraz siedział na bezrobociu, na garnuszku żony. Wiedział, że to tylko stan przejściowy. Miał porządny dyplom, dwa kursy językowe, kilka lat doświadczenia i kontakty. Na pewno jakaś fucha się trafi, wcześniej czy trochę później.

Najbardziej bolało go to, że w swoją pracę wkładał tyle energii i zaangażowania. Nigdy nie oczekiwał podziękowań i czekoladek. Praca to praca. Robił to, co miało jakiś głębszy sens, a teraz to przegrał. Zgubiło go może właśnie podejście – zaangażowanie. Rozgrzebał pewną sprawę, która powinna spoczywać głęboko pod ziemią i przenigdy nie wypłynąć na powierzchnię. To jednak nie mieściło się w etosie dziennikarza. Czuł, że musi wziąć to na klatę i rozłożyć na transparentne czynniki pierwsze.

Nielegalne wysypisko, zwierzęce truchła w lesie tuż za miastem i układ zamknięty. Ludzie spacerujący pośród drzew mieli dosyć kwaśnego odoru, bezpańskich psów zjadających padlinę, stosu rozkładających się ciał, z których gdzieś wystawały

pożółkłe kości, i chmary opastych much. Marcin prowadził śledztwo na własną rękę, a później wszystko potoczyło się bardzo szybko. Policja nic z tym nie robiła, nie wszczęła dochodzenia. Inne służby też nie. Marcin wiedział, kto stoi za składowaniem części i resztek zwierzęcych ciał, i miał na to mocne dowody. Podczas własnego badania śledczego dowiedział się, że zwłoki pochodzą z ubojni oddalonej o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od miasta. Włożył w to wiele trudu, nerwów, kubków kawy i nieprzespanych nocy. Burmistrz, policja i właściciel ubojni mieli układ, którego nie dało się rozbić.

Dziennikarstwo w pewnym sensie ma jakąś moc i jeden artykuł na temat nielegalnej siatki w mieście mógłby burmistrzowi mocno zaszkodzić. Ktoś mocno naciskał na redaktora naczelnego. Szef Marcina dostał list z pogrózkami. Dał się zastraszyć i wyrzucił swojego podwładnego już następnego dnia. Bez słowa wyjaśnienia, bez cienia życzliwości, bez podziękowań za sześć wspólnych lat, jakiegokolwiek by one nie były.

Mężczyznę bardzo wspierała jego żona. Mówiła, że to nie koniec świata, że sobie na pewno poradzą. Z pieniędzmi nie jest u nich źle, a on może sobie odpocząć przez miesiąc. Potem zobaczą, co dalej.

Marcin postanowił poświęcić czas na pisanie książki, w przerwach od szukania pracy. Przecież jest... był... dziennikarzem. Pisanie ma we krwi, ciekawych historii w ciągu tych kilku lat w redakcji poznał wiele. Musi się tylko przestawić z małych form na dłuższą opowieść i *voilà!*

Ewa objęła mężczyznę i przytuliła się do jego nieogolonego policzka. Marcin uśmiechnął się i zachłysnął jej perfumami, które tak bardzo mu się podobały.

– A może gdzieś wyjedziemy, co? – zapytała, zaglądając mu prosto w zielone oczy. – Najlepiej w jakąś głąszę. Podobno to pomaga artystom. – Podciągnęła do góry brwi.

– Artystom? No nieźle.

– Mamy pieniądze, a mi też się przyda chwila na odsapnięcie od pracy. Weźmiemy dzieciaki i się troszkę odprężymy. Tak dawno nigdzie nie wyjeźdzaliśmy... – Zamrugowała kilka razy.

– Nie uważasz, że coś takiego, jak dzieci i odprężenie, nie ma prawa się ze sobą łączyć?

Ewka w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. Wiedziała, że jej mąż na pewno ulegnie tej propozycji. W sumie, dlaczego nie? Za granicą ostatni raz byli przed urodzeniem pierwszego dziecka, czyli jakieś osiem lat temu. Zawsze tylko praca, praca i jeszcze raz praca. Ewa zapewne miała rację. Taki wyjazd na pewno im nie zaszkodzi, a może i nawet popchnie jego nowy pomysł do przodu. Wyrwie się od tęsknoty za redakcją i przewietrzy myśli. Może

dobrze, że stało się tak, jak się stało. Wyjadą, odpoczną, nabiorą nowych sił i wszystko się jakoś ułoży.

Ewa usiadła na kanapie i zaczęła szukać w internecie jakiegoś oryginalnego miejsca, odciętego od reszty świata. Najlepiej jakiegoś domku przyjaznego dla dzieci i akceptującego psy. Przecież nie zostawią Majora samego w bloku. Nie mają też w mieście rodziny, która mogłaby zaopiekować się nim przez kilka dni.

W sieci wyświetliła się jej jakaś stronka z ogłoszeniami nietuzinkowych gospodarstw agroturystycznych. Ewa znalazła miejsce dla czterech osób – w głuszy, z dala od ludzi. Domek wygląda jak stara, wiejska chałupka. Ewa lekko się wzruszyła bo przypominał dom jej babci. Przytulna chatka, drewniane okna z białą, odpryskującą farbą, ogród ze starą jabłonią, zapach wilgotnych desek... Muszą tam pojechać! Dzieciaki za tydzień kończą szkołę i mogą ruszać!

Marcin przysiadł się do żony, która z sentymentem opowiedziała mu o domku swojej babki. Odgarnął jej z czoła niesforny kosmyk i założył go za ucho. Widział, że Ewunia już się nakręciła na wakacje, i wiedział, że ona nie odpuści. Przyjrzał się ofercie i zobaczył cenę.

– Że co? Za jakąś starą chatę mamy tyle zapłacić?! Tam w ogóle jest łazienka? – zapytał, oburzony.

Ewa przewróciła oczami.

– Przestań... Teraz jest taka moda. Ludzie kupują jakieś pustostany, chaty, stare stodoły i przerabiają na wygodne, klimatyczne miejscówki. No spójrz na te zdjęcia... Ludzie cisną się w tych blokach, mieszkaniach, które są po części własnością banku, i wariują. Mają dosyć sardyńkowego ścisku w komunikacji miejskiej, wiecznych kolejek w marketach, siedzenia na słuchawce w korporacji i wciskania klientom produktów, których nie potrzebują. No, ludzie muszą gdzieś wyjechać, odprężyć się! I spójrz! Taka sielanka. Kto z nas o takim życiu nie marzy?

–Okej, okej. – Marcin podniósł ręce w geście poddania się. Kochał Ewę nad życie i uwielbiał jej trzeźwe spojrzenie na świat. I to, że zawsze znajdzie jakieś pozytywne wyjście z każdej sytuacji. – Bukuj tę... chałupkę.

Marcin nagminnie przekraczał prędkość, a Ewa standardowo hamowała go co jakiś czas. Tradycyjna małżeńska sprzeczka, która zapewne pojawia się w większości związków. Dziewczynki, znużone mocnym słońcem, spały przez całą drogę. Hania trzymała mały lepek

Majora na udach. Dla niego to też będzie niesamowite przeżycie. Pierwszy raz zobaczy wieś. Ciekawe, jak się zachowa, gdy zobaczy jakąś krowę albo kury? Marcin miał nadzieję, że mały beagle nie okaże się świetnym łowczym.

Ewka oparła łokieć o drzwi samochodu i oglądała niekończące się połacie zbóż. Na niebie sunęły leniwe chmury. Jakże ciężko na co dzień doceniać takie drobiazgi! I jakże ciężko znaleźć czas na ich docenianie... Kobieta, wpatrzona w boczną szybę, zastanawiała się, dlaczego nie robią tego częściej, dlaczego nie robią sobie takiej małej odskoczni, choćby na weekend.

Dotarli na miejsce. Zdjęcia znalezione w sieci idealnie odwzorowały okolicę. Mimo to nic nie mogło w pełni ukazać tutejszego palącego słońca, cienia drzew czy źdźbeł trawy łaskoczących nagie kostki.

– Właścicielka wysłała mi kod na pocztę. Zaraz otworzę domek – szepnęła do męża. Marcin rozpiął pasy i wyciągnął Małgosię z dziecięcego fotelika. Miał nadzieję, że nie obudzi córek, gdy będzie prznosił je do łóżek. Inaczej będą im marudzić przez pół nocy. Major usiadł na siedzeniu i zaczął drapać się za uchem. Sierść uniosła się i osiadła na czarnym oparciu. Medalik przypięty do obroży delikatnie zadzwonił. Pies wyskoczył z samochodu i pobiegł do drewnianej chatki, jakby był u siebie.

Dziewczynki spały na łóżku na antresoli. Ewa i Marcin mieli w końcu chwilę dla siebie. Kobieta przechyliła kubek i umoczyła górną wargę w naparze z pokrzywy. Oparła głowę na zmęczonym ramieniu męża. Wpatrywała się przed siebie. Za oknem słońce żegnało się ze światem, rzucając ostatnie promienie na wiekową, zgarbioną gruszę. Wzięła kolejny łyk cierpkiej cieczy. Podobało jej się to miejsce. Przytulnie, sielsko, na zewnątrz, jak i wewnątrz, dominowały folklorystyczne wzory – świat bez wad. Czy coś mogło zakłócić ten nienaganny spokój?

Marcin wstał po szóstej. Dziewczyny jeszcze spały. Tylko pies drapał w drzwi, żeby ktoś wypuścił go na siusiu. Mężczyzna szybko mu otworzył, z obawy, że pies zniszczy element cudzego mieszkania, a bądź co bądź on na razie jest bezrobotny. Major wystrzelił jak z procy i zaczął oddawać mocz na wszystkie wystające przedmioty. Ewidentnie chciał zaznaczyć, że chwilowo jest tutaj panem i obcy mają trzymać się z daleka. Marcinowi zdawało się, że ktoś przemknął po posesji i zniknął za stodołą. Być może to jakiś sąsiad albo miejscowy pijaczek?

Mężczyzna zaczął pisać. Miał ochotę na jakiś kryminał. Przecież maglował tyle podejrzanych spraw! Jego głowa była pełna inspiracji na co najmniej trzy cykle. Wcześniej ograniczały go artykuły: krótko, zwięzłe i na temat – albo wcale. Teraz może się wykazać. Ewa zabrała dziewczynki na dwór. Urządziły sobie mały piknik w ogródku, żeby nie przeszkadzać Marcinowi i to mu bardzo odpowiadało. Momentalnie wpadł w twórczy wir i jak opętany, stukał palcami w klawiaturę, produkując kolejne strony powieści.

– Marcin! Chodź z nami na spacer! Pogoda jest świetna! Rozejrzymy się trochę i...

– Nie przeszkadzaj mi! Do cholery, nie widzisz, że coś robię?!

Ewa zdębiała. Trzymała klamkę i zacisnęła na niej dłoń tak mocno, że jej knykcie nabrały koloru porcelany. Marcin pierwszy raz podniósł na nią głos. Nigdy wcześniej nie okazywał przy niej agresji czy czegoś podobnego. Owszem, z kumplami na piwie nieraz sobie folgował i sam był inicjatorem zboczonych gadek czy bójek. Ale to było dawno temu i nigdy przy niej.

– Przepraszam. – Odstawił komputer. – Przepraszam, Ewo. Po prostu mi się wyrwało. Wybacz. Już, już z wami idę. – Wyłączył laptopa, podszedł do Ewy i ucałował ją w czoło. – Złapię Majora, też się z nami przejdzie. – Wymusił na sobie lekki, zawstydzony uśmiech.

– Zobacz, jak im się tu podoba... – Ewa kiwnęła głową w stronę dziewczynek, które biegały z psem po polnej drodze. – Ciekawe, czy kiedyś będzie nas stać na kupienie sobie domku na wsi...

Marcin zmarszczył czoło.

– Postaram się jak najszybciej znaleźć pracę – burknął.

– Nie o to mi chodziło przecież... Przyjechaliśmy tu, żebyś odpoczął, a nie się zamartwiał. Szybko coś sobie ogarniesz.

Ewa przygryzła wargę i odwróciła głowę w drugą stronę. Musi uważać na to co mówi. Jej mąż jest ostatnio taki spięty. Rozumiała sytuację i to, skąd się ten stan bierze. Musi to po prostu przeczekać.

– O, spójrz! – Wskazała ręką na wyblakły baner, przyczepiony do płotu. – Jajka od zdrowych kur, świeże mleko, warzywa, owoce. – Przeczytała na głos. – Słuchaj, przejdę się tu jutro i zamówię nam jakieś fajne produkty. Wesprzemy lokalnych przedsiębiorców i zabierzemy ze sobą coś dobrego do domu. Co myślisz? – próbowała zmienić temat.

– No tak, w sumie to dobry pomysł. – Mężczyzna rozjaśniał na twarzy.

– Zostaw mój komputer! Przecież mówiłem, że nie wolno tacie przeszkadzać!

– Ale ja tylko chciałam pogjać w gje.

Marcin szybko złapał sprzęt i zaczął sprawdzać, czy jego córka niczego nie skasowała. Jego powieść jest teraz najważniejsza. To będzie ich wyjście z kryzysu, a ten smark mógł mu to popsuć.

– Zejdź mi z oczu.

Blondwłosa dziewczynka pobiegła z płaczem w stronę matki, schowała się za jej nogami i przez słone łzy patrzyła na ojca. Ewa wzięła ją na ręce i zaniósła do pokoju.

Mężczyzna przetarł zmęczone oczy. Przez te wszystkie nerwy jego gałki oczne pokryły się czerwoną pajęczynką. Natłok myśli kotłował się w głowie i tylko podkręcał atmosferę.

– Nie przesadzasz, do cholery?! To tylko laptop. – Ewa ściszyła głos, by nie obudzić dziewczynek. – Wiem, że ta sytuacja jest dla ciebie ciężka, ale nasze córki mają tego nie odczuwać, rozumiesz? – Skrzyżowała ręce na piersi, co miało znaczyć, że skończyła mu pobrażać.

I to był błąd. Ewka najbardziej kręciła go, kiedy stawała się apodyktyczna...

Nie minęła sekunda, a kobieta była już w objęciach Marcina. Mężczyzna namiętnie złączył się z nią ustami i nie pozwolił na to, by żona wyswobodziła się z jego uchwytu. Ta po chwili poddała się jego naporowi i pozwoliła na ujście skumulowanych emocji. Marcin rzucił ją na stół i zdarł chabrowy sweter. Jego ręce szybko powędrowały w stronę jej szyi i pewnym ruchem zacisnęły się na krtani. Zamiast namiętnego uniesienia pojawiło się niezrozumienie, a po chwili – także strach. Czy to jeszcze niewinna zabawa? Ewa nie mogła zaczerpnąć powietrza. Instynktownie wbiła paznokcie w dłonie męża, z nadzieją, że on szybko odpuści. Marcin zagłębiał się w jej przestraszonych oczach, to dawało mu niewypowiedzianą rozkosz. Kobieta otworzyła dłoń i uderzyła go w twarz. Podziałało natychmiast, uchwyt się rozluźnił. Odskoczyła i wybuchła:

– Co jest z tobą!?! – Skierowała się w stronę wyjścia.

Marcin otępiłym wzrokiem odprowadził Ewę, która najwidoczniej nie będzie z nim dzisiaj spać. Mężczyzna zgasił światło, położył się na kanapie i nakrył się kocem. Pomimo głuchej ciszy i błogiego spokoju, jaki panował w tej głuszy, nie mógł zasnąć. Cały czas myślał nad powieścią. Wie, że z pisania utrzymują się tylko nieliczni. Jego powieść nie może być sztuczna. Musi być prawdziwa, pełna emocji, by zainteresować jakieś wydawnictwo,

a potem zdobyć grono czytelników, którzy będą mieli kilkudniowego kaca książkowego po jej przeczytaniu. Te wszystkie myśli przerodziły się w medytację, a potem w rzewną modlitwę.

Nocą trapiła go gorączka. Wydawało mu się, że majaczy. Spocone ciało kleiło się do kanapy.

– Tak. Tak. Tak, Panie. – wydusił z siebie, drżąc.

Ewa wcześniej się obudziła. Strasznie niewygodnie spała na podłodze. Lewego ramienia praktycznie nie czuła. Starła się rozmasować i je, i kark. Spojrzała na córki. Ich oddechy były spokojne, miarowe. Uśmiechnęła się. Przecież ten dzień musi być lepszy...

Standardowo zaczęłaby dzień od kubka kawy, ale rześkie powietrze z pewnością lepiej ją pobudzi do życia. Założyła sweterek i wyszła z domu. Major nawet nie otworzył oczu. Psiaka zapewne wykończyły zabawy na wiejskim padole. Kobieta postanowiła zamówić produkty z samego rana. Raz, że inni klienci mogli ją ubiec, dwa – na wsi żyje się wolniej i wstaje się wcześniej.

Poranna rosa lekko zmoczyła jej trampki. Leniwe słońce muskało twarz, wskazując, że pora zacząć dzień. Minęła stary baner i otworzyła furtkę prowadzącą do gospodarstwa. Rozejrzała się po posesji, by sprawdzić, czy zaraz nie dorwie jej jakiś burek. Po chwili zza domu wybiegł kundelek i położył się tuż obok jej nóg, odsłonił brzuch i cały czas merdał ogonkiem. Ta... Ale te burki zeszły na psy. Ten wpuściłby każdego złodzieja i pewnie jeszcze pokazał, gdzie gospodarz trzyma najcenniejsze rzeczy.

– A pani tu czego? – Usłyszała zachrypnięty głos.

Ze stodoły wyszedł starszy, otyły mężczyzna, palący papierosa. Jego pomarszczone czoło skrywała czapka. Pomimo ciepłego poranka miał na sobie brudną kurtkę, grube spodnie i kalosze z filcową cholewą. Patrzył na nią wręcz pogardliwie. Ewa poczuła się nieswojo.

– Chciałam kupić produkty... – Wskazała ręką na ogłoszenie, jakby próbowała się usprawiedliwić.

– To do chałupy pani zajdzie. Żona pewnie w kuchni siedzi. – Zbył ją, splunawszy pod nogi.

Blondynka szybko ruszyła w stronę domu, by zniknąć starcowi z oczu.

– Dzień dobry! Przyszłam kupić produkty!

– A dzień dobry, zapraszam. Niech pani usiądzie, ja tylko pójde po zeszyt.

Kobieta była zmęczona życiem. Z jej twarzy można było wyczytać, że dużo przeżyła. Po chwili usiadła przy stole, wygładziła ręką spódnicę.

– To co dla pani? – zapytała.

Biło od niej ogromne ciepło, mimo biedy, jaka panowała w domu. Była całkowitym przeciwieństwem człowieka, którego Ewka spotkała na podwórku.

– Jakby się dało to tak ze trzydzieści jajek. I... A co pani dzisiaj ma?

– Jajka będą. Może coś od krowy? Masło mam wczorajsze, i ser. Mleka to ze dwa litry mogę pani sprzedać, bo Mućka ma młode. Jakies warzywa?

– Może dziesięć kilo ziemniaków. Co pani ma jeszcze?

– Truskawki mogę zerwać i porzeczki. Dam troszkę spróbować dzemu z tamtego roku.

Z naszych truskawek bardzo dobry wychodzi.

Staruszka podała Ewie dwie kromki chleba i słoik. Ta zaczęła smarować pajdę dżemem, by nie zrobić przykrości gospodyni.

– To wezmę tyle, ile pani przygotuje. – Uśmiechnęła się, a staruszka zanotowała wszystko w zeszytku.

– Kiedy państwo wyjeżdżacie?

– A to aż tak widać, że jesteśmy przyjezdni?

– Stara jestem. Wszystkich tu znam.

– Jedziemy jutro rano. Produkty możemy odebrać dzisiaj wieczorem, jak da pani radę.

– Pewno, że dam.

– Pani mąż to chyba nie lubi miastowych, co? – zapytała ściszym głosem.

– Lubi, nie lubi – zbyła ją. – Eh, mąż uważa, że wynajem domu po Ratajach to niedobra rzecz. I to wszystko.

– No, ale teraz takie czasy, że ludzie chcą odpocząć w takich małych miścinkach. Co w tym złego? Chyba że hałasują, śmieją albo wydeptują kręgi w zbożu. – Ewa przewróciła oczami.

– Nie, nie chodzi o to. Mąż uważa, że miejscom śmierci należą się szacunek i spokój.

– Gospodyni spoważniała. Ewa również:

– Jakiej śmierci?

– O tym się nie mówi. Produkty proszę odebrać o dwudziestej. Wszystko będzie podliczone i przygotowane. Tylko proszę mieć ze sobą gotówkę. – Staruszka szybko ucięła rozmowę.

– Nie wiedziałam, że ktoś tam umarł. Właściciele nic nie wspominali. Proszę opowiedzieć.

– Ja to mam za długi jęzor. Ale jak jutro państwo wyjeżdżacie, to powiem. Stary Bazyl jednego dnia zabił całą swoją rodzinę. Nie wiadomo dlaczego. Czy to z tej biedy, czy się napił. To była dobra i pracowita rodzina, a tu taka tragedia. – Wyciągnęła Inianą chusteczkę i wysmarkała nos.

– Czasem tak się zdarza... W wiadomościach mówią czasem o policjantach, którzy zabijają całą swoją rodzinę. Niestety...

– To była dobra rodzina... Bazyl co prawda przed tym nieszczęściem się zmienił. I zaczął na sąsiadów przeklinać, i na nas też. O, i żonę raz pobił. Z rozbitą wargą do sklepu przyszła. Ja nie wiem, co to się z ludźmi dzieje... Jakieś przekłete miejsce, bo i on się po kilku dniach sam w stodole powiesił. Żonę i synów znalazł listonosz. Po tygodniu, smród był niesamowity. A dziewczynki... w studni znaleźli. Takie śliczne były... rumiane...

Ewę spowił dreszcz. Sama świadomość, że śpi w miejscu, w którym zamordowano dzieci, była dla niej przerażająca. Czowała, że żołądek wywróci jej się zaraz na drugą stronę. Lecz nie to było najgorsze. Dopadło ją jakieś dziwne przecucie, coś, czego nie była w stanie racjonalnie wytłumaczyć. Wiedziała, że musi szybko biec do wynajętej chaty. Czowała, że nie może zmarnować ani sekundy. Chaotycznie wstała z krzesła.

– To ja będę po dwudziestej. – Wybiegła, trzaskając drzwiami.

W domu nie było nikogo. Kobieta stawiała nogi niczym kot. Jakiś ogromny strach rzucił się na nią i ciążył jej u szyi. Miała wrażenie, że coś ją dusi, ale na jej krtani nie było żadnego zacisku.

– Dziewczynki? Marcin?

Odpowiedziała jej głucha cisza. Psa też nie było nigdzie widać. Może poszli na spacer? Albo się przed nią schowali? W ich domu to dość popularna zabawa. Ale dlaczego ma takie dziwne, nieswoje przecucie?

Wyszła na dwór. Samochód stał na miejscu. Rozejrzała się. Intuicja nakazała jej wejść do stodoły, na co, po opowieści starej gospodyni, nie miała najmniejszej ochoty. Chyba spakują się i zaraz wyjadą, najwyżej nie odbiorą zakupów. Nie da rady przespać tu kolejnej nocy.

Chwyciła za rygiel i wyciągnęła go z ogromnego skobla. Drewniane wrota zakwiczały. Ewa pchnęła je do środka. Przyciągnąć w swoją stronę nie miała jak, bo wokół rosła wysoka trawa, której nikt dawno nie kosił.

Nagle, z impetem, coś uderzyło Ewę. Przewróciła się i upadła na pośladki. Rozmasowała czoło, które zabolowało najmocniej, bo to na nie przyjęła cios. Spojrzała w górę i zobaczyła psa. Swojego psa. Wisiał na sznurze, powieszony za szyję. Mały medalik przy obroży mienił się w smudze światła, wpadającej do stodoły przez otwarte drzwi. Światło migotało od drobin kurzu.

Kobieta przykryła ręką usta. Kto to zrobił?! Wstała i wybiegła na zewnątrz. Musi znaleźć rodzinę! Jak najszybciej!

– Dziewczynki?! Gdzie jesteście? Chodźcie do mamy! – zawołała rozpaczliwym głosem.

– Nie szukaj ich.

Usłyszała głos za plecami. Odwróciła się i zobaczyła Marcina. Miał w ręku pustą butelkę.

– Marcin... Gdzie nasze córki? – zapytała drżącym głosem. Przeczucie jej nie myliło. Stało się coś złego, a ona bała się tego, co zaraz może usłyszeć. – Marcin, do cholery!

Mężczyzna z grobową miną wskazał wolną ręką na studnię. Ewa dopiero teraz spostrzegła ten szczegół: wieko było odkryte. Spojrzała na męża pytającym wzrokiem. Nogi miała jak z waty. Powolnym krokiem zbliżyła się do betonowego kręgu i się wychyliła. Po chwili jej płuca wypełnił niebotyczny krzyk, a z pobliskiego drzewa do lotu poderwały się spłoszone szpaki. Nad lustrem wody unosiła się kępa jasnych włosów, a tuż obok nich – małe twarzyczka Małgosi. Miała zamknięte oczy i wydawało się, że śpi. Ewa osunęła się na ziemię tuż obok studni. Zaczęła nerwowo kołysać się w tył i przód.

– Coś ty zrobił... Coś ty zrobił... – majaczyła, rwąc włosy z głowy.

– Chodź tu, suko. Teraz czas na ciebie.

Marcin podszedł do betonowego kręgu i rozbił butelkę. Przezrocyste szkło rozbiło się na tysiąc kawałków, okraśliło włosy Ewy. Mężczyzna złapał ją za kilka kosmyków i odchylił głowę. Wyeksponowana szyja napelniła go chorym pożądaniem. Ewa ostatkiem przytomności złapała większy kawałek szkła i wbiła mężczyźnie w udo. Marcin jęknął z bólu. Kobieta próbowała uciec na czworaka, ale jej mąż był szybszy. Pomimo wbitego szkła jakoś trzymał się na nogach. Uderzył ją pięścią w kręgosłup, a ona wygięła się pod falą uderzeniową.

– Bóg powiedział: w bólu będziesz rodzić dzieci. A ja ci mówię: w bólu będziesz zdychać.

Dzika rządza wypełniła Marcina. To nie był on. Coś wcieliło się w niego i posługiwało się jego dłońmi. Nie było w nim żadnych oznak człowieczeństwa. Odchylił głowę kobiety, z którą ślubował być aż do śmierci, i przesunął nierównym ostrzem po jej

gładkiej szyi. Krew wypłynęła gwałtownie, jakby chciała uciec z tego przeklętego miejsca. Oczy Ewy spowił zmrok.

Mężczyzna siedział przed komputerem. Jego palce z niekontrolowaną szybkością uderzały w małe literki. Ręce zroszone krwią brudziły wszystko wokół. Marcina ogarnęło nieskazitelne szczęście. Nareszcie pisał to, co chciał napisać. Dzięki doświadczeniu doskonale wiedział, jak pokazać strach ofiary i rozkosz oprawcy, jak przelać te wszystkie emocje na papier.

- Dobrze się spisałeś. Czeka cię sowita nagroda.
- Dziękuję, Panie. – Usta Marcina się zaokrągliły.
- Przyjdę do ciebie za kilka dni.



WYSZCZERZ

Michał J. Sobociński

Opowiadanie dedykowane Joannie.

Obyś nigdy nie przepoczwarzyła się w Felczer.

Pani Katarzyna Felczer przetarła oczy. Ziewnęła długo. dopiero w połowie orientując się, że wpatruje się w nią doktor Iga Ostaszewska. Zawstydziała się.

Gdy rozpoczynała rezydenturę neurologiczną niespełna rok temu, pracowała nad własną marką. Pochodziła z typowej miejskiej rodziny. Była jedynaczką, efektem wielce radosnych chwil spędzonych w Karpaczu, napędzanych paliwem alkoholowym. Z domu

wyfrunęła w czasie studiów, dziękując Bogu, że tatuś, choć umiarkowany alkoholik, zarabiał wystarczająco, by zapewnić córce wykształcenie medyczne. Zdobyła dyplom, zrobiła specjalizację, wzięła kredyt i kota ze schroniska. Czowała, że jej życie należy do niej. Tylko do niej.

Wczoraj, nim rozpoczęła pracę o ósmej rano, wzięła zimny prysznic i ubrała się w kitel. Potem odwiedziła kilku bezimiennych pacjentów, postawiła kilka diagnoz, uzupełniła kilka kart. Przed południem poszła na lekki obiad złożony z sałatki greckiej i kompotu ze szpitalnej stołówki, a następnie pozwoliła sobie na lekki flircik z ratownikiem z SOR-u. Potem poszła pobiegać. Co z tego, że w czasie dyżuru? Ostaszewska siedziała na miejscu i oglądała głupie seriale. Przebiegła standardowy dystans wiodący od szpitala do strefy przemysłowej. Po powrocie znów prysznic, znów lekki posiłek i flircik. Tym razem z doktorem, ukrywającym obrączkę w kieszeni fartucha.

Czowała się wyczerpana. Ale nawet dziewiętnasta godzina dyżuru jej nie usprawiedliwiała. Dyżuru, co ważne, płatnego nieźle, choć nieadekwatnie do wysiłku włożonego w studia. W końcu żyć za dwanaście patyków miesięcznie to prawie żebrania.

Zerknęła na doktor Ostaszewską. Długie, ciemne włosy. Ani za wysoka, ani za niska. Duże migdałowe oczy, ładne policzki i tyłek. Przyjemny głos. Ogląda flądra sękata kolejny głupi szoł z aktorami za sto złotych, czytując na zmianę „Nieśmiertelność” Andrzeja Szczeklika. Inteligentka, cholera jej ciasna. Doktor Felczer obiecała sobie, że też przeczyta „Nieśmiertelność”. Kiedyś. Może na wakacjach w Tel Awiwie?

– Kasiu? – Ostaszewska podniosła głowę z leżanki.

Obie lekarki były sobie po imieniu od pierwszego spotkania. Przejście na mniej oficjalną stopę zaproponowała doktor Ostaszewska. Oczywiście. Nie było to w smak doktor Felczer, ale wstydziła się odmówić. Teraz żałowała. Wołałaby, aby przy pacjentach doktor Ostaszewska tytułowała ją należycie. Lub nie – poprawiła się w myśli. W końcu ani jedna, ani druga stopnia doktorskiego jeszcze nie uzyskała. Pani lekarz – jakże dziwnie to brzmi.

– Słucham? Powtórz proszę. Zamyśliłam się.

Doktor Felczer odwróciła się od komputera. Zminimalizowała okienko z Pasjanssem i odchrząknęła.

– Kiedy została przyjęta pani z szóstki? – zapytała Ostaszewska, przeciągając się na wersalce.

– Dzisiaj rano.

– Objawy?

Dopytuje się mnie, jakbym była byle pielęgniarką!

– Pacjentka ma problemy z prawidłowym wysławianiem się. Podczas wywiadu długo kleiła zdania i przeciągała słowa. Występowały również chwilowe otępienia i brak możliwości komunikacji... – doktor Felczer kartkowała historię choroby.

– Alzheimer? – zapytała Ostaszewska.

Katarzyna Felczer nie cierpiała, gdy ktoś jej przerywał. Już podczas studiów irytowali ją profesorowie, którzy podczas egzaminu wcinali się w zdania, burząc jej wypowiedź.

– To nie wszystko – dodała z zaciśniętymi zębami. – Drżą jej dłonie. Przy podpisywaniu przyjęcia do szpitala nie była w stanie prosto napisać swojego nazwiska. Rozgląda się nerwowo, zwłaszcza, gdy milczy. Jeszcze na SOR-ze potrafiła roześmiać się, by zaraz potem płakać. Nie wykluczam płasawicy Huntingtona lub padaczki skroniowej.

Chorób w rzeczywistości nie wykluczał lekarz psychiatra wezwany na konsultację na SOR. O tym jednak doktor Felczer nie raczyła powiedzieć doktor Ostaszewskiej. Niech ta uważa, że to jej diagnozy.

– Sprawdzę to – odparła Ostaszewska, wracając do lektury książki.

Doktor Felczer zachciało się spać. Podniosła się ciężko z fotela i wyrzała za okno. Miała nadzieję, że promienie słoneczne ją rozbudzą. Zamiast słońca doświadczyła jednak szarowy, tak typowej dla późnej jesieni.

Wypchany po brzegi parking był jedną z codziennych zmór personelu szpitala. Pracownicy o stażu dłuższym niż pięć lat mogli parkować na wydzielonym miejscu za lądowiskiem dla helikopterów. Fakt, iż nie mogła tam zostawiać auta, Felczer uważała za dyshonor. Dlaczego byle pielęgniarka może tam parkować? – burzyła się w duchu. Studia medyczne są cięższe od pielęgniarskich, lekarz ma większą odpowiedzialność... Argumenty mogłaby wyliczać do rana!

Chociażby taka Żołędziowa, pielęgniarka kardiologiczna. Gada z pacjentami, pobierze krew, zmieni pościel, niekiedy zrobi EKG, jak Felczer nie ma czasu... Ale co to za sztuka? Każdy może się tego nauczyć, a uniwersytety w Polsce dają pielęgniarkom dyplomy wyższej uczelni. Kpina.

Stojący przy komputerze telefon zadzwonił niespodziewanie.

– Tak? – syknęła Felczer.

Zaraz zrzęda jej mina.

– Już idę. – Odłożyła słuchawkę. – Idę na dół. Wzywają.

„Dołem” określano SOR. Znowu między tabun roszczeniowych pielęgniarek. Znowu do tych głupich pacjentów, którzy z bólem gardła jadą do szpitala. Znowu tam. Znowu,

znowu. Wychodząc z pokoju w poczuciu niesprawiedliwości społecznej, Felczer wpadła na mężczyznę.

– Dzień dobry – przywitał się tubalnym głosem.

– Dobry, dobry – odpowiedziała zdawkowo Felczer.

Nosił granatowy sweter pod długą rozpiętą kurtką. Minę miał mało sympatyczną, postawę przygarbioną i długie dredy związane w kitę. Policjant albo detektyw. Katarzyna Felczer nie zapamiętała opowieści koleżanki. Coś jej nie pasowało. To przyjmują na służbę z taką fryzurą? Sprawiał wrażenie nieciekawego i szorstkiego człowieka, choć, jak zarzekała się Ostaszewska, był słodkim misiakiem. Tak oto prezentował się gbur Ostaszewskiej, zwany dla zmylenia rzeczywistości mężem. Mężczyzna zniknął za drzwiami. Doktor usłyszała jeszcze „cześć, skarbie” i odzew Ostaszewskiej, przez co prawie dostała cukrzycy.

Burczenie starych jarzeniówek irytowało Felczer. Dźwięk zepsutych lamp, przerywany trzaskiem, był znakiem firmowym polskiej służby zdrowia. Zepsucie, zepsucie, reforma, zepsucie.

Szła długim korytarzem, mijając drzwi zamkniętych sal. Czasem słyszała chrapanie, czasem odchrząknięcie. Cisza przerywana pojedynczymi odgłosami pacjentów wzbudzała w Felczer niepokój. To głupie – pomyślała. Przecież potrafię nazwać źródło tych dźwięków. Wiem, skąd pochodzą, a mimo to odczuwam niepokój... Czemu?

Krzyk. Potwornie głośny, upiorny, przeszywający każdą kość, każdy mięsień krzyk.

Przystanęła. Jej nogi pani doktor, doskonale uformowane dzięki długim wizytom na siłowni, nagle zamieniły się w kamień. Oddech przyśpieszył, a dłonie zrobiły się mokre od potu. W gardle zabrakło śliny, a w duchu, który oczywiście jest głupią metaforą dla prostaczków, zabrakło wiary.

Darło się jakieś dziecko! Jezu! Gdzie?! Pediatria jest dwa piętra wyżej!

Ruszyła. Przyśpieszyła. Bała się. Czuła, że ktoś za nią idzie. Miała ochotę zacząć biec. Ktoś, coś za nią drecze. Boże. Jezu. Nie mogę zacząć biec! To tylko moja wyobraźnia. Tylko moja!

Tylko twoja?

Przypomniała sobie. Na końcu korytarza jest wejście do piwnicy i kotłowni. Stamtąd ogrzewane jest północne skrzydło szpitala. Ciec o nieznanym Katarzynie Felczer personaliach trzyma tam kota. Sierściuch czasami sterczy pod drzwiami i miauczy. To nie dziecko. To kot.

Ale strach był prawdziwy.

Przystanęła obok wejścia do piwnicy i kotłowni. Spojrzała z pogardą na drzwi i parsknęła. Położyła dłoń na klamce, lecz nie nacisnęła jej. Bała się. Ale czego tu się bać – pomyślała. Potwory nie istnieją, duchy to bajeczki dla niesfornych gówniarzy, więc czego się boję? Pewnie tego, przekonywała się, że zamknięty za drzwiami kot wybiegnie na korytarz. Tak, tego się boję.

Pchnęła drzwi i weszła na klatkę schodową. Zastanawiała się, czy pójść schodami, czy skorzystać z windy. Wybrała schody. W windzie śmierdzi potem i starymi ludźmi – pomyślała Felczer. Zapomniała buteleczki Chanel No.5 z dyżurki, a nie chciała pokazywać się na SOR-ze, ciągnąc za sobą nieprzyjemny fetor. Weszła na półpiętro i zatrzymała się. Poprawiła mankiety fartucha, ziewnęła i upewniła się, że upięty wcześniej kok nie poluzował się. Przejrzała się w szybie. Odbicie nie poprawiło jej nastroju. Nie widziała dokładnie, lecz podejrzewała, że ma podkrążone oczy. Opuchlizny nie mogła przykryć grubą warstwą makijażu. Nie cierpiała tego. Uważała, że lepiej stosować naturalne metody – piła dużo wody i odżywiała się głównie produktami pochodzenia naturalnego, choć czasami grzeszyła, pozerając kebaba. Westchnęła i spojrzała jeszcze raz na szybę. Stan poprawny – oceniła – wymagający regeneracji.

Korytarz prowadzący na SOR był znacznie krótszy od tego w piwnicy. Nie był również tak złowieszczy. Minęła szpitalną recepcję, odpowiadając zdawkowo dyżurującej pielęgniarence, która powiedziała jej „dobry wieczór”. Czemu nie dodała „pani doktor”?

Głupia cipa. Powinna tak się do niej zwrócić!

Postępująca demokratyzacja społeczeństwa emancypuje jednostki, które zapominają o swoim miejscu. Katarzyna Felczer nie rozumiała, dlaczego środowisko lekarskie spoufalalo się z personelem medycznym, nad którym górowało w każdym calu.

Otworzyła rozsuwane drzwi i weszła do jasnej sali. Na łóżku leżał postawny mężczyzna. Znoszone dzinsy i zamszowe buty. Za duży longslim uwydatniał delikatną nadwagę i zupełnie nie pasował do puciołowatego oblicza. Blondyn z przetłuszczoną twarzą. Lico przerośniętego gówniarza, mentalnie trwającego w okresie buntu.

Roman!

Znasz go?

Znam.

– Kaśka? – Blondyn uniósł okrągłą głowę. – Kaśka Felczer?

Zatem pamiętał. Pamiętał ją z czasów zielonogórskiego liceum, gdy Katarzyna uważała się za brzydkie kaczątko, a Roman należał do jej osobistego fanklubu. Osobowość chłopaka nie trafiała w gusta wyzwolonej nastolatki. Był odczytany, znał się na historii

i kulturze. Rozumiał odniesienia do „Ogniem i Mieczem”, cytował „Pana Tadeusza”, potrafił połączyć treści klasycznego rocka z anime i mangą, co samo w sobie jest intelektualną enigmą. Lub kompletną stratą czasu. Nauczyciele wróżyli mu karierę związaną z literaturą, od biedy z dziennikarstwem, ale on po maturze wybrał się na studia archeologiczne. Tylko po to, by koniec końców zostać urzędnikiem w starostwie powiatowym, o czym dowiedziała się z serwisu społecznościowego.

Nie znosiła ludzi w jego typie. Pamiętała ze spotkań absolwentów, jak Roman żywiłowo opowiadał o studiach archeologicznych. Snuł opowieści o zabytkach i artefaktach, jakby były czymś magicznym. Głędził jak opętany, by po uzyskaniu magisterium porzucić całą tę magię i dołączyć do armii biurokratów. A przecież mógł założyć firmę. Rodzice by pomogli. W końcu wcześniej kupili mu mieszkanie. Na pewien czas zacisnęłyby zęby i pokisił się w kawalerce... Skoro ona może, to każdy może.

Gardź nim, Kasiu. Gardź. Pogarda to przywilej ludzi wielkich albo tych, którzy stale wzrastają.

Wzrastam?

Wzrastasz.

Dziękuję!

– Cześć, Roman. – Pani doktor wysiliła się na uśmiech. – Co ci?

Okrągła buzia napompowała się jak rozdymka. Małe, świńskie oczka powiększyły się, a fałdy pod longslimem zafalowały jak wody Bałtyku smagane północnym wiatrem.

– Nie poznałem cię! – egzaltował się jak dawniej.

Wstał. Felczer przeczuwała najgorsze. Nie pomyliła się. Dawny znajomy uściskał ją serdecznie, choć delikatnie. Zaraz po tym usiadł na łóżku.

– Opowiadaj! Co u Ciebie? Widzę, że spełniło się twoje eee... – Szukał słowa prawie grzebiąc w nosie. – Marzenie?

Jakiż on żaloszny.

– Ach, nic takiego. – Nieco zakłopotana pani doktor spojrzała na kartę pacjenta. Ktoś się pomylił w papierach, ponieważ nie była to karta Romana, a pani Skiblewskiej spod szóstki. – Studia, staż, rezydentura i specjalizacja. Nic nadzwyczajnego.

Nie chciała schodzić na prywatne tematy. Zaraz zacznie wypytywać o szczegóły. O męża, którego nie ma. O dzieci, które zostały wyskrobane. O własność, którą ma na kredyt.

A to, co? Wątpliwości?

Nie no... Skąd.

Refleksja taka?

Tak. Refleksja.

– Kasiu? – aksamitny głos uratował ją przed dalszą rozmową.

Doktor Adam Rajczek. Posągowy młody doktor, posiadający romantyczną, słabą silną wolę. Często flirtował z pielęgniarkami i chyba jeszcze częściej tłumaczył się z flirtów żonie z kardiochirurgii. Chowanie lewej dłoni do kieszeni fartucha doprowadzało doktor Felczer do cichego rozbawienia.

Nie inaczej było tym razem.

– Pan... – urwał doktor Rajczek.

– Roman – dokończył blondyn.

– Pan Roman odwiedził nas około godziny temu. Leży i cierpi jak prawdziwy mężczyzna z gorączką. – Rajczek uśmiechnął się do własnego żartu. Roman załapał. Felczer nie. – Uskarża się na biegunkę i bóle mięśni. Nieco gorączkuje i nie może zbić temperatury lekami. Krwawego stolca nie stwierdzono.

– Boli mnie jeszcze głowa – dodał Roman zaczerwieniony, jakby przyłapany na wstydlwym grzeszku.

– Dlatego wezwałem ciebie, Kasiu – rzekł doktor Rajczek.

Zastanowiła się.

Myśl, Kasiu, myśl! Miałas z siedem lat. Wakacje u babci Władzi w Otyniu. Jadło się owoce prosto z drzewa, warzywa prosto z ziemi. Ciumkało mleczko z cyca krowy. Pamiętasz, jak *diarrhoea* prawie rozsadziła ci dupsko? Co? Że obrzydliwe? Sama opowiadasz znajomym, tym, którzy zostali oczywiście, że nic, co ludzkie, nie jest ci obce. Wstydzisz się, że obsrałaś sobie majtki? Nie rozśmieszaj mnie.

– Podejrzewam wirusowe zakażenie przewodu pokarmowego – dedukowała doktor Felczer. – Musiałeś nie umyć rąk przed posiłkiem. To nic poważnego. Wypiszemy L4 na trzy, cztery dni i staniesz na nogi. Adam, zajmiesz się tym? Muszę zajść na psychiatrię. Ktoś zostawił tu kartę innej pacjentki...

No już, nie dąsaj się, Kasiu. Co za burdel, prawda?

Jak wszędzie. Jak w całym NFZ.

Zrobiłabyś z nim porządek?

Gdybym tylko mogła...

Odwróciła się pełna radości, że spotkanie z kłopotliwym starym znajomym dobiega końca. – Kaśka? – szepnął Roman za plecami Felczer.

– Hm? – odwróciła się.

– Może kiedyś...

– Nie, Roman – wtrąciła raptownie, czując nadchodzące żalosne pytanie.

Powiedz mu, że pochodzicie z innych światów. W twoim uporządkowanym mikrokosmosie wyrośnięci chłopcy pozostają w sferze dowcipów. Po pracy grają w gry komputerowe, walą konia do dziewczyn z Instagrama. Dziewczyny, które posiadają, są w formacie JPG, a jedyne, co je obsługuje, to Photoshop. Czasem wyjdą do knajpy z innymi podobnymi sobie *homo millenialis*, śliniąc się do barmanek dorabiających do studiów. Pamiętasz takich, Kasiu? Pracowało się w Heaven i czuło dotyk męskich dłoni na pośladkach. Poważny i kulturalny zielonogórski klub? Raczej obora dla wymuskanych pajaców.

Powiedz mu, że ty pragniesz kogoś innego. Nie! Zasługujesz na kogoś innego. Zrównoważonego eleganta, na odpowiedzialnej pozycji. Takiego jak twój tatuś, którego nigdy nie było w domu. Co? Chcesz coś dodać? Ach... Ma znać felietony Krystyny Kofty i Jana Hartmana. Ma być też, jak ty to mówisz, społecznie aktywny? Nazwiska też jego nie przyjmiesz. Przecież twoje już wkrótce będzie znane i poważane.

Och, Kasiu...

– Znaczący... Może kiedyś, ale sam wiesz, jak to jest z pracą... Jeszcze ta rezydentura – uśmiechnęła się najniewinniej, jak potrafiła.

– Spokojnie. Rozumiem. – Roman musiał spodziewać się podobnej odpowiedzi. Uśmiechnął się. – Leć, nie zatrzymuję.

Z SOR-u wyszła szybciej, niż zamierzała. Puściły jej nerwy, za co zganiała się w myślach. Nie zdążyła posłać promienistego uśmiechu doktorowi Rajczkowi. Kiepski początek romansu.

Romansu? Chcesz mieć z nim romans?

Powinnam mieć z nim romans.

Przystanąła przed schodami. Nie mogła się zdecydować, czy pójść schodami, czy użyć windy. Windy, rzecz jasna, używali pacjenci. Cuchnęli moczem, potem, czasem nawet kałem, a także środkami dezynfekującymi używanymi przez salowe. Smród Felczer by wytrzymała, gorzej z gadatliwością. Chorzy często zadawali pytania, nie mogąc znieść krępującej ciszy. Uskarżali się na wymagowane bóle, na to, że boli ich to samo, co sąsiadkę. Na katar, na kaszel, na to, że ktoś spod jedenastki ma gazy, a w nocy chrapie. To tylko dwa piętra – pomyślała.

Pójdę schodami.

Powróciła myślami do Romana.

Co on sobie wyobrażał? Może gdyby miał więcej pewności siebie, Katarzyna Felczer zaszczyciłaby go przyjęciem zaproszenia na kawę. Lub piwo. Brak pewności siebie

u mężczyzn to ich słabość. Kobieta czytała niegdyś artykuł, że winę za to ponosi duży odsetek ojców wybierających zamiast odpowiedzialności – alimenty. Głupi artykuł. Samotne matki mają ogrom siły, ale jakimś sposobem wychowują same safandule! Artykuł mówił, że winny jest brak ojca... Zresztą, to były wycieczki jakiegoś prawniczego krety. Co on może wiedzieć o kobietach? Co taki Roman może wiedzieć o mnie? Wiecznie wystraszony, zamknięty w klatkę, w której każdy pręt to jakaś fobia.

Och, Kasiu! Po co o nim tak rozmyślać? Chodź na... górę.

Co?

Co „co”? Miałaś iść do Skiblewskiej. Kartę odnieść.

Poszła.

Na korytarzu oddziału psychiatrycznego mrugała jarzeniówka. Wymienić ją miał konserwator, ale od momentu porażenia prądem pozostawał na intensywnej terapii. Zastanawiające – dumiała Felczer – że pracownik z długoletnim doświadczeniem popełnił prosty błąd i nie sprawdził, czy dopływ prądu jest odcięty.

Kasiu, pewnie był pijany. Pamiętasz ciecica z osiedla Konstytucji? Non stop chodził nagrany. Takie wypadki zdarzają się często. Doprawdy, nie ma powodu, by zajmować sobie umysł człowiekiem zastępowalnym.

Próbowała ignorować mrugające światło. Po co – myślała – wybrałam taką specjalizację? Chryste, przecież to wariaci. A od wariatów się szaleje. Ostrzega przed tym statystyka. Czemu nie wybrałam dermatologii? Czemu nie poszłam na coś może niehigienicznego, ale spokojniejszego?

Bo jesteś ambitna, Kasiu.

Jestem.

Słyszała chrapanie, sapanie, gdzieś ktoś śmiał się po cichu, jakby przez sen. To przerażało Felczer. Kiedyś, na nocnym dyżurze, spędzała czas przy śpiącej pacjentce. Kobieta leżała w indywidualnej sali, co Felczer uznała za szczęśliwy zbieg okoliczności. Zabrała „Wysokie obcasy”, włączyła nocną lampkę i zaparzyła kubek kawy Pellini. Rzecz jasna stuprocentowej arabiki. I nagle, pogrążona w zadumie nad artykułem Anny Dudek o grach i porno, usłyszała śmiech. Gardłowy, głęboki, równomierny. Lekarka zerwała się na równe nogi, strącając kubek z szafki nocnej. Trzask obudził śpiącą pacjentkę. Było po strachu.

Nie wiedziałaś, co się dzieje. Co, Kasiu? Nie spodziewałaś się, że człowiek przez sen może się śmiać?

Wzdrygnęła się, gdy poczuła mocną wibrację wyciszonej komórki. Wyciągnęła telefon z kieszeni spodni i spojrzała na wyświetlacz. Na stłuczonej szybce iPhone'a 8 widniał starszy mężczyzna z nienaturalnie białymi zębami. Wicedyrektor Ambrański.

– Tak? – rzuciła, gdy odebrała.

– Dobry wieczór, pani Kasiu. To ja.

Wiem, kretynie. Wyświetla mi się twoja gęba na ekranie.

– Och, dobry wieczór, panie Ambrański. Coś się stało? Mam do pana podejść?

– Nie, nie, spokojnie, chciałem...

W słuchawce zaczęło trzeszczeć. Felczer usłyszała długi szum. Po nim coś jakby jęk cierpiącego człowieka.

– Halo? – powiedziała głośniejsze.

– Przepraszam, coś przerywa. Słyszysz mnie pani?

– Tak, panie dyrektorze. Już lepiej. Jestem na psychiatrii. Chyba gubię zasięg.

– No to krótka piłka. Czy wzięłaby pani dyżur pojutrze?

Zatkało ją.

– Ale...

Nockę miałaś odespać. Jutro z rana – czort z tym, że niewyspana! – na crossfit. Po południu wizyta u kosmetyczki i fryzjera. Potem może skromny obiad w „Zielonce”. Oczywiście na pokaz. Głód po wegeżarciu zrekompensujesz w domu, opierdzielając trzy porządne udka z kurczaka w zalewie pieczarkowej. Wieczorem seans z Jackiem Rabbitem i Piniunią, z którą przydałoby się pójść na sterylizację.

– Panie dyrektorze – jękała Felczer.

Postaw mu się! Postaw!

– Dzisiaj mam dyżur, jutro ustawowo wolne, a na dyżur, o którym pan mówi, miał iść doktor Bąk.

– Bąk, Bąk. Odleciał! – w słuchawce rozbrzmiał piskliwy śmiech ordynatora. – Młoda pani jest, a za dyżur dziewięćset złotych szpital płaci. To chyba nieźle jak za dwanaście godzin, prawda?

– Prawda.

– Doktor Bąk się rozchorował, a ja od razu pomyślałem o pani. To co? Mogę panią wpisać? Tak? Świetnie.

– Tak... Proszę. I dziękuję.

Dopiero po chwili Katarzyna Felczer zrozumiała, że wicedyrektor rozłączył się, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Westchnęła. Miała dość.

Drzwi od sali numer sześć były zamknięte. Doktor Felczer energicznie nacisnęła na klamkę i ruszyła do przodu.

– Szlag! – warknęła.

Zaparła się i mocniej pchnęła drzwi. Puściły.

Sala była oświetlona buczącymi jarzeniówkami. Lampy były mocnym światłem, rzadko mrugając. Pacjentka nie leżała w łóżku. Siedziała naprzeciwko okna, odsłaniając jakby nieśmiało płat żaluzji. Zdawała się wypatrywać czegoś w ciemnościach. Doktor Felczer zamknęła za sobą drzwi.

– Pani Skiblewska? – zapytała, unosząc pod nos kartę pacjenta.

Kobieta nie odpowiedziała.

Ubrano ją w standardową szpitalną piżamę w kolorze beżu. Nieco przydługą jak na gust pani doktor. Może i dobrze – myślała. Pacjentka miała wychudzone nogi. Siedziała pokracznie na krześle, łącząc ze sobą kolana, a stopy trzymając rozstawione. Nie opierała się. Wychylała się i garbiła, wpatrując w okno.

– Pani Skiblewska? Halo?

Pacjentka zaśmiała się cicho pod nosem. Dziwnie. Chrapliwie. Katarzyna Felczer westchnęła ciężko. Zrobiła krok i zatrzymała się gwałtownie.

Skalpel! Na stoliku obok łóżka leżał skalpel! Co za kretyn go zostawił?! To wbrew zasadom, wbrew protokołowi! Felczer nie przepadała za rozdrapywaniem ran przeszłości, ale słyszała, że dwadzieścia jeden lat temu pacjent psychiatryczny podczas wywiadu rzucił się na lekarza. Pokroił biedakowi twarz. Policja podobno napisała w raporcie, że chory próbował dostać się przez usta do przełyku. Czternaście lat temu inny pacjent próbował odciąć sobie głowę skalpelem. Dla większej skuteczności zaczął od kręgów szyjnych. Z kolei siedem lat temu chirurg po nocnym dyżurze otworzył sobie gardło. Dlaczego? Nie ustalono.

Spojrzała na Skiblewską.

Czego ona tak wypatrywała? Może faktycznie choruje na płasawicę? Zaczęła się kołysać. Choroba sieroca, hah! Kompletna wariatka. Znowu charczy,

chyba jej ślina na kolana cieknie. Co za wariatka. Powinnam wezwać pielęgniarkę, by się nią zajęła. Ale co powiem? Że brzydzę się pacjentki? Trochę to prawda, ale nie. Nie no, przypał. Nie mogę. Muszę sobie poradzić sama. Bywa.

Zrobiła krok do przodu.

W odbiciu grubej szyby zobaczyła coś dziwnego. Skiblewska dalej gapiła się w nicość, ale pani doktor zdołała wypatryć, że z twarzą kobiety jest coś nie tak... Powyżej

nosa widniała duża plama z czymś okrągłym na środku. Plama poruszała się nerwowo. Również z dolną częścią twarzy było coś nie tak. Uśmiech. Zbyt szeroki.

Felczer zacisnęła mocniej zęby. Żyły na jej smukłej szyi jakby zeszywniały, a serce zaczęło szaleńczo łomotać.

Skiblewska wstała i zaczęła powoli odwracać głowę w kierunku lekarki.

Bardzo powoli.

Odbicie w lustrze mogło być igraszką perspektywy. Bezpośredni widok już nie. Skiblewska uśmiechnęła się trzema rzędami rekinich kłów. We wnętrzu rozwartej gęby wił się ośliniony język. Czarne, jak węgielki oczy wydawały się radosne, wręcz pogodne. Wiotkie ciało starej, schorowanej kobiety poruszało się nienaturalnie sztywno.

– Morgahun viktea'h Eo'z lyaghta – wyburczała kreatura strasznym głosem. – Welgkhom meh! Maluserpent wih eyath yoz mundu!

Nim Felczer zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, potwór skoczył do niej. Pchnął kobietę na łóżko i ugryzł ją w rękę. Adrenalina zrobiła swoje. Strach nie sparaliżował jej. Jeszcze. Krzyknęła z bólu i odkryła szybko, że krzyk nie roznosi się po pomieszczeniu. Zostaje w jej głowie.

Skiblewska chwyciła skalpel leżący na stoliku przy łóżku. Wtedy Felczer sparaliżował strach. Stwór uderzał na oślep, aż pościel nabrała brunatnego koloru. Doktor zaczęła się szamotać i wtedy uderzył ją ból między nogami. Krew trysnęła potężnym strumieniem.

– Nie! Nie! – krzyczał głos w jej głowie.

Kasiu. Wkrótce koniec.

– Na pomoc! Jezu! Mamo!

Stwór próbował unieść ręce kobiety do góry. Rezydentka broniła się pomimo bólu w okolicach ud. Potwór uderzył ją pięścią w twarz. Delikatne chrząstki nosa pękły. Cięcie pod pachą.

Szast, prast, głupia dziewucho!

Lekarka traciła siły. Czują, że odpływa.

– Błagam! Nie! Proszę! Co się dzieje?!

Zabieram cię na wycieczkę.

Gdzie?!

Do innego świata, głupia pindo.

Pan Jerzy, jeden z konserwatorów szpitala w Nowej Soli, wrócił do pracy po długiej rekonwalescencji. Niektórzy ludzie z personelu medycznego skarżyli się na mrugające jarzeniówki. Konserwator usterek nie zauważył, ale wymienił niektóre świetlówki na nowe.

Stare pójdą na handel – postanowił.

Wychodząc z kostnicy, gdzie dokonywał ostatnich z zaplanowanych reperacji, minął wicedyrektora i jakiegoś faceta w długich dredach. Widział go czasami w szpitalu. Mąż doktorki czy ktoś tam. Pana Jerzego szczerze zainteresowało, do kogo przyszli mężczyźni. Dlatego stanął w progu, uchylił drzwi i nadstawiał ucha.

Ciało Katarzyny Felczer przykryte było białym materiałem/całunem. Wicedyrektor Ambrański odsłonił je z przejęciem. Spojrzał na mężczyznę obok.

– Pan jest detektywem? – spytał dziarsko Ambrański.

– Nie wyglądam?

– Nie – odparł szorstko wicedyrektor. Po chwili złapał się na nieuprzejmości. – Z całym szacunkiem, panie Ostaszewski.

– Z całym. Nie jestem z policji. Wróćmy do meritum. Co stwierdziła sekcja?

– Wysokie stężenie chloropromazyny i alkoholu. Kasia, znaczy Felczer, razem ze środkami przyjęła około dwóch litrów wódki. Co jeszcze... – doktor przewrócił kartki ułożone na ciele Felczer. – Rejestr leków wskazuje, że brakuje nam Fenactilu.

– Po polsku proszę.

– Prościej mówiąc, leku psychotropowego – wicedyrektor porzucił akademicki ton. – Podajemy go pacjentom cierpiącym na schizofrenię.

– Czy pani Felczer pobierała Fenactil ostatnio?

– Tak.

– Proszę dokładniej – Ostaszewski zasłonił twarz denatki.

– Wiem, do czego pan zmierza, ale nie będę mógł odpowiedzieć na to pytanie. Fenactil został pobrany w dużych ilościach w dniu śmierci Katarzyny Felczer. Rejestr nie wskazuje, kto pobierał lek i jakim pacjentom go podał.

Ostaszewski przetarł oczy. Podrapał się po podbródku i westchnął.

– Pani Felczer została znaleziona w pokoju pacjentki o nazwisku Skiblewska – stwierdził mężczyzna.

– To prawda – Ambrański kiwnął głową.

– Czy gdyby została znaleziona wcześniej, mogłaby zostać uratowana? – Ostaszewski machnął ręką. – Niech pan nie odpowiada. Wiem, że to możliwe. Proszę mi zatem powiedzieć, jakim cholernym cudem Katarzyna Felczer umarła na łóżku, w sali, w której na krześle kołysze się jedynie chora psychicznie pacjentka?

Ambrański zmieszał się.

– Czy mógłby mi pan pokazać odznakę? – zapytał nieśmiało.

Pokazał.

– Faktycznie, nie jest pan z policji... Czemu pańskie biuro się tym interesuje?

– Nie interesuje – odparł Ostaszewski. – Moją żonę interesuje, dlaczego umarła jej koleżanka z pracy. Siedzi w domu i płacze, a ja nie lubię, jak ryczy. Widzę obrączkę na pana ręku. Myślę, że wie pan, o czym mówię.

– Ale tak... Bez nakazu?

– Niech będzie – Mężczyzna wyprostował się. – Nakazuje panu.

– To jakieś żarty! – Wicedyrektor zważył odznakę. Orzeł biały siedzący na konturze Rzeczypospolitej gryzł się nieco z niebieskim tłem. – Salowa znalazła wczoraj rano panią Felczer. Leżała na łóżku. Bez obrażeń wewnętrznych i zewnętrznych. Zero ran. Może pan wykluczyć napaść. Wyglądała, jakby spała. Lekarze czasami śpią na łóżkach pacjentów... Takie czasy, proszę pana. Salowa była przekonana, że Felczer śpi. Nazajutrz sytuacja się powtórzyła, a ja nie mogłem dodzwonić się do Kasi. Wtedy pańska żona połapała się, o co chodzi. W sali Skiblewska kołysała się na krześle, jak gdyby nigdy nic. Przedwczoraj jej się polepszyło swoją drogą... Zaczęła nawet chodzić na stołówkę. Przez to nikt nie przynosił jej jedzenia do sali. Felczer, znaczy Kasia, miała ją zbadać, zaczęliśmy już podawać leki, które pacjentka brała wcześniej, cholera... Potem pana żona stwierdziła zgon i... przysłała pana.

– Pan rozmawiał jako ostatni z denatką?

– Tak. Poinformowałem ją o dyżurze. Kasia chyba nie chciała go wziąć... Mogła się fatalnie czuć po...

– Po innych dyżurach?

– Niech pan zrozumie – Ambrański odzyskał rezon. – Lekarze niechętnie biorą dyżury. To ryzyko. Na dyżurach różne rzeczy się dzieją. Obciążenie fizyczne, psychiczne, stres...

– Sugeruje pan samobójstwo?

– Nic innego, proszę pana – wicedyrektor ciężko westchnął. – Przecież nie zabiła jej Skiblewska.

Pogrzeb odbył się w następną środę.

Potem w szpitalu po Katarzynie Felczer nikt nie zapłakał. A potem wszyscy żyli długo i zrędliwie.



ZAMARZNIĘTE PIEKŁO

Mateusz Dębski

Drogi Potomku,

doszedłem do wniosku, że ludzie kierowani są swoimi wewnętrznymi przymusami. Czasem przeradzają się one w piękne pasje, czasem spadają na człowieka w postaci mrocznych obsesji. Od dłuższego czasu wierzę, że włada mną duch podróżnika. Zresztą nie tylko mną, ale także moim przyjacielem Dawidem. Takie połączenie podobnych sobie duchów, mitycznych kompanów, jest dla mnie jedynym sposobem na życie. Cały rok siedzimy uwięzieni w biurach, zajmujemy się cyframi i przedmiotami, oddajemy czas i pieniądze naszym kobietom. Musimy obcować z ludźmi, którzy stali się niewolnikami własnych ograniczeń. Nigdy jednak nie zgodziliśmy się na taką niewolę, mimo iż trwamy w niej przez

większość naszych dni.. Na jeden miesiąc w roku nasze życie zmienia się i wówczas możemy w pełni wyzwolić nasz potencjał.

Ludzie uznali survival za pewien rodzaj mody i właśnie dlatego pozostają ignorantami. To piękny czas ujawniania swojej wewnętrznej energii, nie żadna sztuka przetrwania! Otaczające nas środowisko, niebezpieczeństwo w nocy i za dnia czy samotność w świecie przyrody same w sobie są nagrodą! Dla kobiety jej dziecko jest, nieraz trudną i wymagającą, ale czystą radością, możliwością realizacji siebie jako matki. My stawaliśmy się mężczyznami właśnie w kontakcie z tym, co najbardziej ekstremalne. Ten subtelny dotyk grozy wobec tego, co nieznanne, niepewności towarzyszącej na każdym kroku, za każdym oddechem! Mieliśmy jedynie siebie, nasze doświadczenie i przyjaźń. Naturalnie, spotykaliśmy różnych ludzi na naszej drodze, ale najczęściej postrzegaliśmy ich jako część zgłębianej przez nas przyrody. Jedynym wyjątkiem byli niektórzy tubylcy, zaznajomieni z tajemnicą swojej ziemi i panujących na niej bytów.

Widzieliśmy już wielkie góry, tropikalne lasy oraz bezkresne pustynie. W każdym z tych miejsc zostawiliśmy część siebie, a właściwie zamieniliśmy ją na coś zupełnie nowego. Moment przemiany zawsze przychodził nagle, jakby jakaś niewidzialna ręka wyciągała część z nas i wstawiała w jej miejsce coś nowego. Uczucie obcości trwało tylko chwilę.. Być może dlatego ludzie zaczęli na nas dziwnie patrzeć. Na siłowni zawsze ćwiczyliśmy razem, ale nie dla muskulatury czy dobrego samopoczucia. Nasze ćwiczenia przygotowywały nas na najgorsze i właśnie dlatego były skrajnie wymagające. Nasze sylwetki zmieniły się także pod wpływem wielu celowych głodówek. Stan wyczerpania dawał nam się we znaki, a przy tym wszystkim prowadziliśmy zwykłe życie. Nigdy nie byliśmy rozgadani, a z każdym krokiem cisza w coraz większym stopniu stawała się naszym przyjacielem. Gdy człowiek zawdzięcza życie przyjacielowi, gdy wielokrotnie jest przez niego ratowany i wraz z nim doświadcza czającej się wszędzie wokół potworności, nie potrzebuje używać wielu słów. Wystarczy prosty gest czy spojrzenie.

Naszą wspólną pasją były także książki. To dzięki nim poznaliśmy wiele technik przetrwania w prymitywnych warunkach, a także zapoznawaliśmy się z florą i fauną miejsc, do których zmierzaliśmy. Krąg naszych zainteresowań obejmował także historię ludów tubylczych, ich tradycje, przekonania i religie. Nasze podróże otwarły nam oczy na świat, zaczęliśmy dostrzegać jego złożoność i piękno, ale także obcość i czyhające na człowieka zewsząd zagrożenie. Ludzie wokół nas mogli uważać się za wysoko rozwiniętych ateistów, za zdroworozsądkowych ludzi podporządkowujących sobie świat, a nawet wszechświat, ale my wiedzieliśmy lepiej.

Z czasem zainteresowały nas książki okultystyczne, ale okazały się płytkie. Dopiero porównując ich treści z wielką tradycją starożytnych ludów, doznaliśmy oświecenia i wytyczyliśmy sobie nowe cele. Kto nie widział, jak Dawid wabi zwierzę prostymi gestami, ten nigdy nie uwierzy w moc ludzkiego ducha. Nowoczesny świat coraz bardziej budził w nas odrazę, ale korzystaliśmy z jego uroków. Dzięki wysiłkom i odnoszeniu się do prawdziwych sił rządzących kosmosem, zdołaliśmy niepomiarnie się wzbogacić. Pieniądze przeznaczaliśmy na rozwój naszej biblioteki, która wzbogacała się o najstarsze manuskrypty. Rozwijaliśmy także nasze zdolności, przede wszystkim nauczyliśmy się starożytnych języków. Sam bóg wiedzy, Anulap, prowadził nas po ścieżkach mądrości i wybrał dla nas nowy cel podróży. Nasze przygotowanie skupiło się na rozwinięciu wytrwałości wobec wielkich mrozów, ciągłej ciemności oraz zabójczej ciszy.

Ten miesiąc naszego życia poświęciliśmy ziemi Inuitów oraz jej starożytnym bóstwom. Nie rozczarowaliśmy się. Wrażenie całkowitej obcości i bezradności zawładnęły nami niemal do końca. Wyruszyliśmy więc i stawiliśmy czoła zupełnie nowemu światu.

Żał było jedynie pozostawionej rodziny. Chodziło głównie o naszych potomków, którym należało się prawo do odziedziczenia naszych zdobyczy. Przed wyruszeniem zadbaliliśmy, aby dotarła do nich nasza wiedza i doświadczenie. W taki czy inny sposób. Wyrazem naszej zapobiegliwości jest ten właśnie list.

Postawione igloo spełniało wszelkie wymogi. Mogliśmy się schronić i przemyśleć nasze kolejne poczynania, a przede wszystkim odnowić nasze siły duchowe. Na tym etapie wtajemniczenia nie potrzebowaliśmy świec czy krwawych ofiar ze zwierząt. Niepotrzebna była też olbrzymia przestrzeń czy niesamowite orgie. Najważniejsze były osoby i to one obecnie siedziały w naszym lodowym domu. Ja, Dawid oraz mroczne bóstwa wiecznie zmarzniętych ziem: Akna, Amarak, Igaluk, Nanook oraz inni. Jednak jedynie dwójka z nich zdawała się szczególnie aktywna, a zarazem napastliwa. Pan morza Anguta oraz Pan śmierci Agloolik zdawali się nie akceptować naszej obecności. Nie będę rozpisywał się o tym, w jaki sposób rozpoznaliśmy te bóstwa, nie jest to wiedza przeznaczona dla każdego. Ten mój krótki list ma służyć radą jedynie wtajemniczonym i mam nadzieję, że mój potomek przekaże go w odpowiednie ręce.

Wracając jednak do tematu, nie mogliśmy ustalić dalszej trasy. Obrazy ludzkich męczarni w piekle czy też doznania związane z topieniem się nie były nam obce. A jedynie

takimi wizjami darzyły nas bóstwa. Chciały nas przerazić, ale udało im się jedynie nas znużyć. Podczas naszych podróży astralnych przeszliśmy przez wiele mrocznych nienazwanych miejsc, a śmierć kliniczna wskutek utopienia była tylko częścią treningu. Mieliśmy jednak do czynienia z inteligentnymi istotami i w dodatku byliśmy ich nieproszonymi gośćmi. Nagle nasza medytacja została przerwana i nie mogliśmy nawiązać ponownie kontaktu, nawet po zażyciu odpowiednich środków. Z wielu powodów unikaliśmy wszelkiego rodzaju używek, ale zawsze też mieliśmy je przy sobie. Czasem wystarczyło przeziębienie i człowiek nie był w stanie opuścić swojego ciała. Po nieudanym seansie postanowiliśmy odpocząć.

Sny były prawdziwą przeprawą, jeszcze trudniejszą niż ciężkie warunki atmosferyczne. Nie obawialiśmy się niczego, nasze igloo było ciepłe a wokół spały nasze psy. Oprócz tradycyjnych form obrony zawsze mieliśmy przy sobie broń palną, używaliśmy także wielu znaków i wiedzy starych bogów. Osunąłem się w ciemność snu i od razu wyczułem obecność wielu innych bytów. Miałem się na baczności, każdy sen jest nową rzeczywistością i rządzi się własnymi regułami. Sny...Jeżeli osoba czytająca te notatki nie jest zaznajomiona z ich znaczeniami, lepiej niech przestanie czytać w tym miejscu i nie naraża się na szkodę czy śmieszność. Nie pomogą także nędzne senniki czy psychoanalityczne bzdury. Tutaj potrzebna jest prawdziwa wiedza!

Najpierw próbowałem odnaleźć Dawida, ale jego dusza zdawała się przebywać gdzie indziej. Zostałem sam, byłem pewien, że to sprawka Agloolika, nie byłem jednak bezbronny. Nie mogłem zignorować jego mocy oraz parszywego charakteru. Jego nienawiść unosiła się w powietrzu niczym smród spalonych włosów. W moim śnie stałem na brzegu. a ktoś wyciągał do mnie rękę, chciał mi coś przekazać. Obraz jednak rozmył się i znalazłem się w moim pokoju. Widziałem, jak piszę słowa, które właśnie czytasz i z pewnością nie byłem sam. Czuję się potrójnie zmartwiony – ja śniący, ja śniony oraz ja piszący tę notatkę. W tle śpiewał Leonard Cohen, a jego słowa „chcesz, aby było mroczniej?” były wyraźnym przekazem od mrocznego bóstwa. Deszcz uderzał niedbale o szyby (w igloo?). Po raz kolejny nie zrozumiałem wizji i przeniosłem się w inną część snu. Miałem coraz mniej czasu na wyplątanie się z matni, w którą rzucał mnie bożek morza. Zrobiło się o wiele cieplej, w stopy parzył mnie rozżarzony piasek a powietrze cięło moje płuca ognistym mieczem. Przede mną stał człowiek, miał około trzydziestu lat i był strasznie wychudzony. Chyba się modlił,

z pewnością pościł. Po chwili poczułem obecność Złego i momentalnie wykonałem w powietrzu znak ochronny. Bestia i mężczyzna spojrzeli na mnie i roześmiali się jednocześnie. Poczulem się zwyczajnie głupio, ale przynajmniej rozpoznałem stojącego przede mną mężczyznę i wiele rozjaśniło się w mojej głowie. Teraz przyszedł czas na jego próbę, którą miał wygrać. Zrozumiałem.

Gdy otwarłem oczy, Dawid siedział nagi w pozycji diamentu. Oczyszczał się. Nie było sensu pytać, co stało się jego udziałem, przynajmniej nie teraz. Także postanowiłem się oczyścić, ale nie musiałem sięgać po tak skrajne rozwiązania. Wystarczyła mi odrobina własnego moczu zmieszana z paroma kroplami krwi. Gdy skończyłem, poszedłem przygotować psy. Wyszędłszy z igloo, rozciągnąłem kości, lodowate powietrze dodało mi sił. Nasze malamuty były wspaniałe! Silne i dzikie, a zarazem żyjące w stadzie i całkowicie oddane. Biła od nich niesamowita aura życia i wiedziałem, że będą wspaniałymi źródłami energii. Jeżeli zajdzie taka potrzeba. Naprawdę sam Amarak zesłał nam te bestie, aby nas prowadziły! Odłączył je od swojej wspaniałej watahy i postawił przed nami jako naszych przewodników i obrońców. Być może to zdenerwowało pozostałe bóstwa.. Dawid wyszedł i przywitał mnie krótkim spojrzeniem. Wyruszyliśmy kierowani naszym wewnętrznym kompasem. A może to zwierzęta nas prowadziły?

Niezależnie od tego, kto obrał kierunek, ruszyliśmy przed siebie w biały mrok.. Podróżowaliśmy kilka godzin, ale nagle musieliśmy się zatrzymać. Przysiągłbym, że w ciszy słyszałem gardłowy śpiew Inuitów. Ich głosy były ukojeniem dla mej duszy, ale budziły strach w moim ciele. Co chcieli nam dać do zrozumienia? Dawid zszedł z sań i wykonał parę znaków na śniegu. Cisza. Ruszyliśmy więc dalej, w nieznaną. Czułem, jak wewnątrz mnie narasta lęk. Był to znak, że zbliżamy się do kolejnej granicy naszej egzystencji. Po raz kolejny mieliśmy oddać się we władanie szaleństwa i wyjść z tego doświadczenia całkiem odmienieni. Ludzie mówią, że piekło jest pięknym chaosem z domieszką bólu, to właśnie ono czekało na nas za kolejnym wzgórzem. Zatrzymaliśmy sanie i ruszyliśmy pieszo przed siebie.

Reszta jest już czystym szaleństwem i moja ręka nie chce spisać myśli kłębiących się w mojej głowie. Po tym, jak ich ujrzałem, jak obcowałem z nimi, już wiem tak wiele,

a zarazem przestałem wierzyć we wszelką wiedzę. Szaleństwo zawsze było słodką ucieczką mistyków i teraz nie dziwi mnie to ani trochę. Czego doświadczyłem? Gdybym wiedział i pamiętał do końca, co się ze mną stało, to mógłbym zostać własnym guru na drodze do oświecenia. Przypomniałem sobie scenę ze snu, śmiech Jezuy i Gadriela, ale być może było za późno. Moje ciało zostało pożarte, a świadomość zawłaszczona przez coś zupełnie obcego. Prawdopodobnie zgubiła mnie pycha. Jednak największych przyjaciół poznaje się w biedzie! Miałem już zupełnie zatracić się w nieznanym mi sferach, ale z pomocą przybył mi głos odwiecznego kompana. Moja iskra zapłonęła na nowo i opuściła nędzny nośnik, którym władała cudza wola.

Pamiętam, jak biegliśmy przez biały bezkres śniegu, zupełnie nadzy i przestraszeni. Żal było mi pierwszego psa, ale musiałem się ogrzać i nabrać sił. Staralem się zadać mu jak najmniej bólu, ale o ile pamiętam, nie udało mi się to do końca. Straciłem przytomność, jednak byłem świadom podróży. Byłem gdzieś ciągnięty, ktoś interesował się mną, a ktoś inny pragnął mnie kupić. Śniłem o biegu, długim i męczącym. Wokół stawały osoby, które przyglądały mi się z uśmiechem, czekały na mój upadek. Ja jednak biegłem, raniłem przy tym stopy i traciłem resztki godności, ale biegłem.

Gdy świadomość wróciła, zobaczyłem przed sobą zupełnie obcą twarz. Postać ta miała długi, spiczasty nos i pokraczne uszy. Przestraszyłem się, ale nie byłem w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Ktoś umyślnie trzymał mnie w pozycji leżącej. Słyszałem ohydny pieśń, czułem dotyk obcych dłoni. Nigdy nie zapomnę aury, którą roztaczała ta dziwaczna kreatura. Gdy egzorcyzm się skończył i zrozumiałem, że uratował mnie inuicki szaman, zwany przez nich jupikiem, nie potrafiłem wyjść z podziwu dla jego umiejętności. Obróciłem spoconą głowę i zobaczyłem pobladłego Dawida. Okazało się, że spędziliśmy dwa tygodnie wśród samego lodu. Bardzo pragnąłem przypomnieć sobie wszystkie wydarzenia, ale nie miałem dość siły. Ludzie żyjący w tej części Ziemi są bardzo wyjątkowi, nie pozostają w żadnej z rzeczywistości, ale przenikają je wszystkie i dają się rozszarpać na tysiące kawałków. Nigdy nie można czuć się u nich bezpiecznie, zawsze trzeba czuwać. Już zawsze będę czuwał.

Po tych doświadczeniach Dawid zmienił się zupełnie, zmienił pracę i został leśniczym. Teraz nie mówił już prawie wcale, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Wiedzieliśmy, że tam wrócimy. To była konieczność. Wiele miesięcy poświęciłem na powrót do zdrowia psychicznego, ale czułem się zmieniony już na zawsze. To jednak nie było ważne.

Czekała na nas tak wielka wiedza! Tylko szalenie porzuciłby taką okazję! Wprawdzie już nigdy miałem nie być sam, a ciemności zawsze miała towarzyszyć czyjaś obecność, ale byłem zdeterminowany. Każde nadejście mroku było początkiem mojej walki, ale to tylko umocniło mnie. Właśnie kończę się pakować. Arktyka czeka na mnie. To zamrożone piekło zaprasza mnie do ponownego doświadczenia jego pięknego chaosu. Muszę się śpieszyć, ponieważ moja psychika słabnie coraz bardziej. Celowo nie zdradzam miejsca ani czasu naszej podróży. Kto bardzo pragnie tej wiedzy, dowie się bez problemu. Czuję, że przeniesiemy się już na zawsze i zostaniemy częścią czegoś wyższego! Kto stanie przeciwko tak wielkiej przyjaźni?! Zaraz po wejściu na wyższy poziom istnienia zemścimy się na Aglooliku. Przez tego błazna musiałem odciąć sobie ucho! Jednak to mała cena, bardzo mała cena. Przeczytaj ten tekst osiemnastego maja, wtedy wyjaśnię ci resztę. Bywaj i niech Cię strzeże Wielki Przedwieczny!

La mayyitan ma qadirun yatabaqa sarmadi
fa itha yaji ash-shuthath al-mautu gad yantahi!

Podpisał własną krwią.
Twój przodek Mateusz,
Bądź dumny z tego, co masz!



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

